TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XX NR 39 (1033)
25 WRZEŚNIA 1977 R
CENA 3 ZŁ

INAUGURACJA ROKU KULTURALNEGO

EDWARD GIEREK W ŁODZI

STRONA 2

O PROBLEMACH WSPÓŁCZESNEJ MŁODZIEŻY

CZYTAJ NA STRONIE 7

MIESZKANIE DLA KAŻDEGO

str. 6

DIALOG W SPRAWIE ENERGII

Dialog między producentami ropy naftowej i krajami – konsumentami ropy miał stanowić zgodnie z ideą, zrodzoną w następstwie kryzysu naftowego z jesieni 1973, jedyny temat paryskiej konferencji Północ-Południe. Kraje wysoko uprzemysłowione musiały jednak w lecie 1975 r. po pewnych wahaniach zgodzić się na spełnienie żądania krajów rozwijających, dotyczącego rozszerzenia tematów na sprawy rozwoju gospodarczego, surowców i kwestii finansowych. W opinii krajów uprzemysłowionych problematyka energetyczna pozostała jednak głównym tematem przeprowadzonej w kręgu 27 krajów konferencji. Czy Konferencja w sprawie Międzynarodowej Współpracy Gospodarczej, która zakończyła się po 18 miesiącach trwania, była prawdziwym dialogiem? Jakie są jej wyniki? Co będzie dalej.

Dalszy ciąg na str. 8

PONADTO W NUMERZE:

MUZYKA
AFORYZMY
proza poetycka
EX LIBRIS ★★★★★

FELIETONY
wiersze
KRYTYKA LITERACKA

INAUGURACJA ROKU KULTURALNEGO 1977/1978

Spotkanie EDWARDA GIERKA Z ŁÓDZKIMI TWÓRCAMI I DZIAŁACZAMI KULTURY

Z prawdziwą radością przyjąłem wasze zaproszenie do Łodzi na inaugurację roku kulturalno-oświatowego. Dziękuję wam za to zaproszenie. Pragnę również podziękować twórcom pięknego, patriotycznego koncertu, którego wspólnie wysłuchaliśmy. Kultura zajmuje w życiu Polaków, całego naszego narodu, szczególne miejsce. Pomagała nam w trudnych momentach historycznych zachować swoją tożsamość, swój język, swoje obyczaje, umacniała uczucia miłości do ojczyzny. Główny nurt naszej kultury i sztuki narodowej związany był zawsze z dążeniem do postępu. Dlatego, gdy po tragicznych latach wojny i okupacji Polska odrodziła się w nowym kształcie, gdy po raz pierwszy w dziejach stała się państwem sprawiedliwości społecznej, dzieła wielkich twórców przeszłości zajaśniały pełnym blaskiem budząc otuchę, dodając sił w trudzie nad podniesieniem kraju z ruin, służąc awansowi kulturalnemu ludzi pracy.

Wspaniały dorobek naszej kultury narodowej został w ludowej Polsce rozwinięty, wzbogacony o głębokie moralne i ideowe wartości, które niesie ze sobą socjalizm. W procesie rewolucyjnych przeobrażeń naszego narodu dokonuje się wielki rozkwit kultury i sztuki, rośnie jej wpływ na formowanie świadomości społeczeństwa.

Jest to dzieło wszystkich pokoleń twórców, rezultat pracy i postawy ogromnej większości wybitnych twórców starszej generacji, którzy potrafili docenić niepowtarzalną szansę, jaką stworzyła naszemu narodowi Polska Ludowa. Jest to także dzieło nowych pokoleń twórców, prawdziwej eksplozji talentów we wszystkich dziedzinach sztuki. Jest to wreszcie rezultat polityki naszej partii, która zawsze przywiązywała najwyższą wagę do kultury i sztuki narodowej, czyniąc wszystko, aby kontynuować jej piękne tradycje, aby zapewnić jej możliwie najlepsze warunki rozwoju.

Partia nasza przez swą politykę kulturalną wyraża te oczekiwania i te nadzieje, które całe społeczeństwo wiąże z twórczością naszych pisarzy i poetów, plastyków i muzyków, reżyserów i aktorów. Oczekujemy zatem, że dzieła wasze i wszystkich twórców polskich towarzyszyć będą wiernie naszemu narodowi w jego życiu i pracy, że przyczynią się do zacieśnienia jedności wszystkich Polaków w ich dążeniu do wspólnego celu, jakim jest dobro ojczyzny.

WYSTĄPIENIE I SEKRETARZA PZPR

Powołaniem każdego twórcy jest umacniać najlepsze wartości ideowe i moralne narodu, podnosić poziom jego świadomości, pomagać w określaniu stanowiska wobec problemów, jakie stawia przed każdym człowiekiem współczesność. Ludzie oczekują od sztuki, że ułatwi im indywidualną odpowiedź na pytanie, jak żyć, że pogłębi ich przeżycia i wzbogaci ich wiedzę. Sami wiecie najlepiej, jak odpowiedzieć na te oczekiwania, jak godnie wypełnić obowiązki wynikające z waszej odpowiedzialnej pozycji w życiu narodu.

My ze swej strony będziemy — jak dotąd — starali się zapewnić dobre warunki dla waszej twórczej pracy i upowszechniania waszych dzieł, będziemy nadal podnosić społeczną rangę twórczości artystycznej. Wspólnie powinniśmy troszczyć się też o to, aby środki przeznaczone przez społeczeństwo na rozwój kultury, ku jej dobru, jak najlepiej były wykorzystywane. Wszystkie sprawy środowisk artystycznych, problemy polityki kulturalnej chcemy rozstrzygać wspólnie z wami.

Wspólną naszą troską powinno być stałe pogłębianie uczestnictwa najszerszych rzesz ludzi pracy w kulturze, rozwijanie i popieranie ruchu amatorskiego, twórczości regionalnej, wszystkich form życia kulturalnego w mieście i na wsi.

Ostatnie lata przyniosły szybki postęp we wszystkich dziedzinach życia kraju. Widoczne to jest dobrze również tu, w waszym mieście — w robotniczej Łodzi. Przyjmując i realizując program rozwoju Łodzi, rozbudowy miasta i modernizacji jego przemysłu, kierowaliśmy się nadrzędną zasadą — dobrem człowieka pracy. Wielkie rewolucyjne tradycje tego miasta, szybki rytm jego dzisiejszego dnia, jego atmosfera robotniczego trudu — to głęboka inspiracja dla ludzi sztuki.

Rozwój naszego kraju nie przebiega bez trudności i napięć. Wciąż ciągnie się za nami balast niełatwej przecież przeszłości, a życie przynosi stale nowe, złożone problemy wymagające rozwiązania. Iść dalej naprzód, pokonywać przeszkody możemy tylko wtedy, gdy zjednoczymy nasze myśli i nasz wysiłek, gdy zgodnym rytmem bić będą serca wszystkich Polaków. Wierzę, że patriotyczni i utalentowani polscy twórcy będą zawsze z narodem, że wnosić będą coraz większy wkład w pomnażanie duchowego dorobku naszej ojczyzny, w dzieło rozwoju Polski.

* * *

W dniu 16 września w Muzeum Historii Miasta Łodzi odbyła się uroczysta inauguracja roku kulturalno-oświatowego i sezonu artystycznego 1977/78. Zebrani w sali wielkiej muzeum liczni przedstawiciele środowisk artystycznych i działaczy kultury powitali długotrwałymi oklaskami przybyłego na tę uroczystość **I sekretarza Komitetu Centralnego PZPR** towarzysza EDWARDA GIERKA. I sekretarzowi KC partii towarzyszą gospodarze województwa: I sekretarz Komitetu Łódzkiego PZPR, przewodniczący Rady Narodowej m. Łodzi tow **Bolesław Koperski** i prezydent Łodzi **Jerzy Lorens**, jak również przedstawiciele centralnych władz partyjnych i państwowych: kierownicy wydziałów KC PZPR **Jerzy Waszczuk i Wiesław Klimczak**, I zastępca ministra kultury i sztuki — **Janusz Wilhelmi** oraz zastępca kierownika Wydziału Kultury KC PZPR — **Eugeniusz Mielcarek.**

Na wstępie swego przemówienia otwierającego spotkanie tow. **Bolesław Koperski** serdecznie powitał w imieniu wszystkich zebranych Edwarda Gierka i towarzyszące mu osoby. Następnie zwracając się do uczestników uroczystego spotkania **I sekretarz KŁ PZPR** zwrócił uwagę na tradycyjne już związki ludzi kultury z miastem, z jego klasą robotniczą, związki oparte na pełnej wzajemności, na sympatii jaką ludzie pracy darzyli swoich twórców, czego najlepszym przykładem są nazwiska Broniewskiego i Wandurskiego, Tuwima i Strzemińskiego, Leona Schillera i Józefa Pilarskiego, i wielu innych.

Szybkiemu obecnie marszowi Łodzi ku nowoczesności towarzyszy rozwój wszystkich dziedzin kultury. Cechą wspólną działalności środowisk twórczych była i jest głęboka ideowość i zaangażowanie we współczesne problemy kraju.

W dalszej części przemówienia tow. Bolesław Koperski podkreślił, że w codziennej praktyce współdziałania środowisk twórczych z instancjami partyjnymi Łodzi wytworzyły się bezpośrednie i serdeczne kontakty, które pozwalają na wspólne rozwiązywanie najistotniejszych dla rozwoju kultury problemów.

— Wyrażam głębokie przekonanie — stwierdził na zakończenie I sekretarz KŁ — **że tak jak dotychczas, również w inaugurowanym roku kulturalnym klimat wysokiej, ideowej żarliwości towarzyszyć będzie wszystkim środowiskom kulturalnym, że rok ten będzie rokiem osiągnięć i satysfakcji zarówno dla twórców jak i społeczeństwa, że dostarczy mieszkańcom województwa wielu pięknych przeżyć i wzruszeń Takie jest pragnienie nas wszystkich.**

Następnie rozpoczyna się koncert muzyki polskiej. Zapowiada aktor Teatru Nowego — **Wojciech Pilarski.** Arie, pieśni i utwory instrumentalne Wieniawskiego, Nowowiejskiego Moniuszki, Chopina, Karłowicza, a także łódzkiego kompozytora **Jerzego Bauera** wykonują **Anna i Bogusław Wódkowie, Henryk Kłosiński, Delfina Ambroziak,** chór **„Bel Canto"** pod kierownictwem **Kazimierza Dębskiego,** akompaniują — **Edward Przyłęcki i Rajmund Ambroziak.** Wiersz Gałczyńskiego „Largo" recytuje **Barbara Wałkówna.** Ten piękny koncert łączący tradycyjne pozycje narodowej kultury z utworami współczesnymi, wywarł na obecnych duże wrażenie i był serdecznie oklaskiwany. Wszyscy wykonawcy spisali się wyśmienicie, a szczególnie wzruszającą reakcję wzbudził chór „Bel Canto" wykonując **„Pieśń o żołnierzach z Westerplatte" Jerzego Bauera.**

Następnie zabiera głos I sekretarz KC PZPR — EDWARD GIEREK.

I sekretarza KC otaczają łódzcy artyści i działacze kultury. Z Edwardem Gierkiem rozmawiają: dyrektor Teatru Wielkiego **Bohdan Wodiczko** i dyrektor Filharmonii Łódzkiej — **Henryk Czyż.** O wyższym szkolnictwie artystycznym informują I sekretarza rektorzy łódzkich uczelni: filmowej, muzycznej i plastycznej: **Stanisław Kuszewski, Zenon Płoszaj, Wiesław Garboliński.** W chwilę później Edward Gierek rozmawia z grupą łódzkich pisarzy m.in. z **Władysławem Rymkiewiczem, Igorem Sikirzyckim, Tadeuszem Chróścielewskim, Henrykiem Czarneckim, Jerzym Wawrzakiem.** W czasie rozmowy dyrektor Wydawnictwa Łódzkiego — **Jacek Zaorski** wręcza I sekretarzowi opublikowaną niedawno przez łódzką oficynę wydawniczą książkę „Jak unieść wierszem twoją chwałę" — antologię poezji radzieckiej poświęconej Polsce. Ta pięknie wydana książka na I Targach Książki w Moskwie wyróżniona została dyplomem honorowym Związku Pisarzy ZSRR. **Rozmowa z pisarzami jest serdeczna, podobnie jak cały przebieg spotkania, świadczy o tym, że przywódca naszego narodu i partii jest nie tylko wysoce ceniony i szanowany, ale i w najzwyklejszy, ludzki sposób lubiany, otaczany powszechną sympatią Polaków, ma za sobą poparcie zarówno ludzi pracy jak i twórców kultury.**

Później wśród artystów z którymi Edward Gierek wymienia poglądy widzimy nestora łódzkich artystów-plastyków **Konstantego Mackiewicza,** kierownika zespołu filmowego „Profil" **Bohdana Porębę,** dyrektora Teatru Powszechnego **— Romana Kłosowskiego,** dyrektora Muzeum Sztuki — **Ryszarda Stanisławskiego,** a także wspomnianych już wykonawców koncertu. Towarzysz E. Gierek w odpowiedzi na liczne zaproszenia od łódzkich twórców i instytucji artystycznych, a także informacje o życiu artystycznym miasta, serdecznie dziękuje i jeszcze raz podkreśla, że wysoko sobie ceni dorobek miasta w dziedzinie kultury i sztuki, zaangażowanie twórców we współczesne problemy województwa.

Spotkanie inaugurujące rok kulturalny i sezon artystyczny 1977/78 dobiega końca. W imieniu środowisk twórczych Łodzi zabiera głos rektor PWSFTviT — **Stanisław Kuszewski,** który powiedział m.in.:

— W imieniu łódzkich twórców i pracowników kultury mam zaszczyt złożyć Wam wyrazy najserdeczniejszego podziękowania za Waszą tutaj obecność i za słowa uznania dla naszej pięknej, ale i trudnej pracy. Niezwykle wysoko cenimy życzliwy i mądry, pełen gospodarskiej troski stosunek kierownictwa partii i rządu, a przede wszystkim Wasz osobiście, do złożonych problemów i wielorakich potrzeb działalności kulturalnej. Drogie jest nam Wasze zaufanie, którego twórcy kultury polskiej tak liczne otrzymali od Was dowody. Wszystko to stanowi dla nas nieocenioną pomoc i zachętę, a także zobowiązanie do tego, aby jeszcze lepiej wypełniać naszą powinność wobec socjalistycznej ojczyzny.

Wasze wskazania są szczególnie bliskie łódzkim twórcom i pracownikom kultury. Związani przecież jesteśmy z wielkim skupiskiem ludzi pracy, z jego niepowtarzalną atmosferą, z miastem o pięknych rewolucyjnych tradycjach.

Przeszłość i dzień dzisiejszy naszego miasta są dla nas trwałym punktem oparcia i nieustającym źródłem inspiracji, a sojusz kultury i świata pracy, współdziałanie z łódzką klasą robotniczą, to trwały składnik naszego codziennego działania.

...Naszym pokoleniom artystów i działaczy kultury dane jest żyć w czasach, kiedy historia i kultura Polski Ludowej zmierzają w tym samym kierunku. To na kartach Uchwał VII Zjazdu po raz pierwszy na świecie w dokumentach tej rangi zawarte zostało stwierdzenie, że wysoka kultura jest celem społeczeństwa socjalistycznego. Stwierdzenie to, podobnie jak szereg innych sformułowań tego dokumentu, stanowi cenny wkład naszej partii do skarbnicy światowej myśli społecznej.

Przyjmijcie, Towarzyszu Pierwszy Sekretarzu, nasze najszczersze życzenia dla kierownictwa partii i rządu i dla Was osobiście, jak najlepszych osiągnięć w kształtowaniu naszej najnowszej historii, w realizacji szczytnych zamierzeń VI i VII Zjazdu partii stanowiących wyraz najlepszych dążeń każdego Polaka.

Przyjmijcie też nasze zapewnienie, że my, łódzcy twórcy i pracownicy kultury oddajemy i będziemy oddawać wszystkie siły i umiejętności dla dobra rozwoju naszej socjalistycznej ojczyzny.

RANGA KULTURY

To wiemy — Łódź jest miastem pięknej robotniczej i rewolucyjnej tradycji, jest wielkim centrum przemysłu i dobrej pracy. Nie zawsze jednak pamiętamy, że Łódź jest także jednym z najważniejszych ośrodków życia kulturalnego w naszym kraju, miejscem pracy wybitnych artystów i działania znanych, cenionych instytucji artystycznych i uczelni. W pięknej sali Muzeum Historycznego Miasta Łodzi znaleźli się w piątek Henryk Czyż i Bohdan Wodiczko, Wiesław Garboliński i Bogdan Poręba, Jan Maciejowski i Roman Kłosowski, Delfina Ambroziak i Ewa Mirowska, Jerzy Wawrzak i Zbigniew Józefowicz — a to tylko część ponad 100-osobowej grupy twórców, pedagogów szkół artystycznych, wydawców, działaczy kultury, przybyłych na spotkanie z Dostojnym Gościem, które było zarazem uroczystą inauguracją nowego roku pracy kulturalnej w woj. łódzkim.

Symboliczną wymowę miał wybór miejsca tego spotkania. Dawny pałac fabrykanta, położony tuż obok wielkiej tkalni, jest dziś dobrem wspólnym — mieszcząc muzeum dziejów miasta, dostępne dla wszystkich. Mogło się tak stać tylko w toku procesu historycznego, któremu na imię postęp i dążenie do sprawiedliwości społecznej.

W formowaniu tego procesu zawsze uczestniczyły kultura polska i sztuka polska. Podkreślił ten moment w swoim przemówieniu tow. Edward Gierek — dodając, że ten sam czynnik postępu, który niegdyś w przeszłości, gruntował wysoki autorytet ideowy i moralny polskiej kultury w dzisiejszych czasach charakteryzuje się udziałem sztuki i jej twórców w kształtowaniu świadomości nowoczesnego społeczeństwa, które w jedności w zespoleniu wszystkich wysiłków dla wspólnego dobra może pomyślnie budować przyszłość socjalistycznej ojczyzny.

Czynnik społecznej i patriotycznej pasji i społecznej służby sztuki nie stracił przez to nic na znaczeniu. Dlatego partia — poprzez swą politykę kulturalną — przez bliski kontakt z środowiskiem twórców i działaczy kultury, przez nadawanie sprawom sztuki i upowszechniania kultury należytej rangi — wyraża tylko te nadzieje i oczekiwania, jakie całe społeczeństwo polskie, cały naród wiążą z pracą polskich wybitnych artystów. To oni bowiem poprzez swe dzieła umacniają najlepsze wartości ideowe i moralne narodu, pomagają sprostać wyzwaniu, jakie naszym pokoleniom rzuca współczesność, pomagają wreszcie każdemu z osobna znajdywać odpowiedź na pytanie: jak żyć godnie — służąc Ojczyźnie i swoim najbliższym.

Łódzkie spotkanie tow. Edwarda Gierka z środowiskiem artystycznym miasta przekształciło się w nie objętą oficjalnymi ramami rozmowę. Pierwszy sekretarz KC PZPR wymienił poglądy z pisarzami, plastykami, aktorami, pedagogami, interesował się ich pracą, dorobkiem i problemami. I tak — w atmosferze rzeczowego zajęcia zagadnieniami bieżącej pracy i planami na przyszłość — rozpoczęty został nowy, kolejny rok kultury polskiej.

MICHAŁ MISIORNY
(*„Trybuna Ludu"*)

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, (sekretarz redakcji) Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

ŁÓDŹ AKADEMICKA

JERZY URBANKIEWICZ

KARIERY I PATENTY

W połowie siedemnastego stulecia rektorem Akademii Krakowskiej wybrany został **Jan Brożek**, autor podstawowego dla matematyki dzieła „De numeris perfectis". W tym samym czasie najtęższe w miasteczku Łodzi głowy należały do burmistrza **Marcina Jałochowicza** oraz wójta **Waleriana Glińskiego:** właśnie sądzili byli kobietę, która weszła w zbyt zażyłe stosunki z diabłem.

Tuż po roku 1820 **Adam Mickiewicz** wydawał „Ballady i romanse", dwie części „Dziadów" oraz powieść poetycką pod tytułem „Grażyna". W tychże latach architekt de Viebig wbijał pierwsze kołki wytyczające pierwsze centrum przemysłowej Łodzi. Czterdzieści lat później Szkoła Główna Warszawska otwierała podwoje dla pierwszych, przeważnie stołecznych studentów. Przemysłowcy łódzcy żyli wówczas nadzieją uzyskania dla swego miasta Instytutu Politechnicznego. Sięgnęli nawet do kies i kupili na ten cel teren przy ulicy Dzikiej. Ale książę Czerkasskij wziął dokumenty w dwa palce jednej i dwa drugiej ręki i podarł je na strzępy.

Był taki „interes"

Na liście fabrykantów zabiegających o uczelnię nie było nazwiska, które na tych stronicach odegra swoją przekorną rolę, nazwiska Szaji Rosenblatta. Ale Szaja już wtedy chodził po Dzikiej, chodził po Ślązakach, Widzewie i Wólce, przyglądał się rosnącym fortunom i snuł plany fortuny własnej. Okrzepły one w kształt ceglanego budynku z wieżą wzniesionego pod lasem, gdzie krzyżowało się to, co miało być ulicą Długą z tym, co miało być ulicą Radwańską. Wrzeciona zaczęły warczeć, selfaktory chodzić dokładnie w tym czasie, kiedy w innej części świata Alexander Graham Bell demonstrował swój wynalazek, a mało kto chciał wierzyć, że blaszka połączona z drutem może mówić ludzkim głosem.

Obok przędzalni stanęła tkalnia i inne działy, bez których zakłady bawełniane obejść się nie mogą i w ten sposób w kwadracie ulic: Długiej, Radwańskiej, Pańskiej i Karola znalazło zajęcie około trzech tysięcy ludzi. Uszczęśliwiło ich ono w pewnej tylko mierze, skoro w roku 1905 robotnicy chcieli wyrzucić za bramę Maksa Rosenblatta, „ale się uratował przyrzeczeniem podwyżki". W tym czasie Szaja, jeśli jeszcze żył, nosił się z godnością patriarchy i okiem, które konia tuczy, patrzył, jak się „interes" w ręku trzech spadkobierców rozwija.

Edwards Rosset (Łódź miasto pracy) nie cenił zbyt wysoko osiągnięć starego fabrykanta, skoro określił ten „interes" jako „wyroby bawełniane i o d p a d k o w e", lud zaś prosty wprowadził do swego leksykonu słowo „szajowy" znaczące tyleż samo co „tandetny". Szaja i jego spadkobiercy również, jak my dzisiaj, „walczyli o jakość". Aby była niższa.

Walczyli również o unowocześnienie i potanienie produkcji. Urzędujący prezes, Tadeusz Rosenblatt począł w latach 1927—1929 budować elektrownię (tam, gdzie dziś Instytut Włókien Sztucznych), a likwidować maszyny parowe. Ale właśnie wtedy jeden z braci, rezydujący stale w Wiedniu sprzeniewierzył się rodzinie i rodzinnemu „interesowi", i w momencie, kiedy puszczone w ruch inwestycje potrzebowały gotówki — przerwał dostarczanie kredytów. To, co wtedy nastąpiło, nosiło nazwę „plajty". Urządzenia poszły na spłatę długów, budynki zaś wynajmowano jako magazyny. Hitlerowcy, mając do dyspozycji puste budynki zrobili w nich — cóż by, jeśli nie obóz. Później zamienili to na Zentral Magazin der Kriegsmarine, który to fakt zbliża nas do pierwszej w tym reportażu pointy.

Zaczęła się Politechnika

Spuścizna po Szaji Rosenblatcie, ta czysto materialna, przede wszystkim ceramiczna, okazała się bardzo przydatna, bowiem po upływie lat osiemdziesięciu od uruchomienia przędzalni historia zaczęła dokonywać korekt, jedna zaś z nich polegała na ziszczeniu marzenia, które się kiedyś w strzępy rozleciało w dłoniach księcia Czerkasskiego. Nie tu miejsce na przedstawianie koncepcji, jakie się po drugiej wojnie światowej rodziły, krzepły, rozpadały pod ciosem innych koncepcji. Z tego ścierania się przeciwieństw powstał **24 maja 1945 roku Dekret o utworzeniu Politechniki Łódzkiej.**

W kwietniu 1945 roku delegat Ministerstwa Oświaty inż. **Władysław Kuczewski,** prorektor Politechniki Warszawskiej prof. dr **Stefan Straszewicz** oraz starsi asystenci, inż. **Witold Iwaszkiewicz** i inż. **Marian Mieszkowski** weszli w towarzystwie wojennego komendanta na teren dawnej fabryki Rosenblatta i oczom ich ukazało się wnętrze Zentral Magazin wypełnione dobrem rozmaitym. Na przykład w gmachu, w którym się dziś po przebudowie mieści Wydział Chemiczny, ogromne sale zastawione były ciasno regałami, na których leżały ogromne ilości butów, kaski tropikalne, odznaki hitlerowskie, miliony guzików i swetry. Zawartość regałów przytoczono tu tylko z tego powodu, że ówczesny inżynier a dzisiejszy profesor Marian Mieszkowski miał właśnie na nogach trzewiki made in Poland 1939, w związku z czym podeszwy były przywiązane do wierzchów sznurkiem. Opisany majątek pozostawał w dyspozycji wojska. Wojsko też zabrało zawartość półek wraz z w s z y s t k i m i butami. Natomiast same półki przypadły rodzącej się uczelni jako bezcenny materiał na meble i ściany działowe.

Mogłoby paść w tym miejscu pytanie, dlaczego wybór miejsca dla Politechniki padł właśnie na tę fabrykę. Pytanie zostało sformułowane w korespondencji pomiędzy inżynierem **Marianem Mieszkowskim** a wahającym się jeszcze, czy objąć stanowisko pierwszego rektora Politechniki Łódzkiej, profesorem doktorem **Bohdanem Stefanowskim.** Inż. Mieszkowski odpowiedział: **„Dlatego, że budynki Rosenblatta są podobnie ułożone w kwadracie ulic, jak... Politechnika Warszawska".** Argument okazał się ważki.

Burek i studenci

Pierwsza inauguracja roku akademickiego odbyła się w Szkole Włókienniczej, pierwszych wykładów i laboratoryjnych wskazówek studenci słuchali w dziewięciu innych miejscach, ale trzy z nich stanowiły niegdyś fragmenty bawełniano-odpadkowego królestwa Rosenblatta. Studenci byli wymizerowani oraz spragnieni witaminy C, tudzież błonnika. Chcąc je zaspokoić rozejrzeli się po terenie i przed domem zajmowanym kiedyś przez fabrykantów dostrzegli przeglądającą się w stawiku nie zidentyfikowaną grecką boginię i zwisające nad nią obsypane owocami gałęzie. Sadu pilnował dorywczo stróż, permanentnie zaś zaczajony w budzie pies Burek. Studenci powzięli uzasadnioną niechęć do psa. A byli to studenci zdolni i pełni inwencji twórczej. Przejawiła się ona w zastosowanej przez nich metodzie separowania Burka od sadu. Polegała na zachodzeniu budy od tyłu i stawianiu jej na tej ścianie, w której mieści się otwór. Według nie sprawdzonych danych codzienne stanie na nosie spowodowało u psa zachwianie równowagi psychicznej, w związku z czym nie wytrzymał on pierwszego semestru. Nie udało się także stwierdzić, kto personalnie wymyślił opisaną metodę separowania psa od sadu. Wśród podejrzanych znaleźli się m. in. studenci: **Mirosław Banasiak, Michał Jabłoński, Antoni Kotełko, Tadeusz Koter, Jerzy Leyko, Władysław Pełczewski, Mieczysław Serwiński, Janusz Szosland** oraz doktorant **Stanisław Zagrodzki.** Wprawdzie dowody, jakimi dysponuje niżej podpisany są nikłe, ale również o alibi, którym by podejrzani mogli się wykazać, nie jest wcale łatwo. Co więcej — wydało się też, że z dawnego domu Rosenblattów przenieśli do świetlicy fortepian. Nikt by o tym nie wiedział, ale się w tym czasie zjawił Tadeusz Rosenblatt w mundurze porucznika. Padł więc strach, czy się nie zaczną dochodzenia. Ale do rewindykacji nie doszło — „Ciesz się późny wnuku!... Jękły głuche kamienie: Ideał sięgnął bruku". Działo się to w tej, jak powiedziałem, części politechnicznego miasteczka, w której siedzi owa niezidentyfikowana grecka bogini. Bogini przetrwała do dziś na tym samym miejscu, tylko staw u jej stóp zmienił się w „zbiornik przeciwpożarowy — kąpiel wzbroniona". Pokuśmy się natomiast o odszukanie wyżej wymienionych studentów.

Teraźniejszość

Na przeszłość można patrzeć, mrużąc jedno oko. Zwłaszcza jeśli zmieniła się ona w imponującą teraźniejszość. W kwadracie ulic, które teraz noszą nazwy Al. Politechniki, Żwirki, Gdańskiej i Świerczewskiego, zmiany te zachodziły w wielu płaszczyznach. Rzucało się w oczy znikanie starych ceglanych budynków, a wyrastanie nowych, naszpikowanych żelazem i betonem. Nie szło to szybko! Stara przędzalnia z wieżą zniknęła w roku 1976. Sto cztery lata wcześniej rosła w czerwonym pyle — cegiełka za cegiełką. Teraz zjawili się handlarze materiałem rozbiórkowym o sto lat młodsi od murarzy, oparli drewniane rynienki o dach i po nich spuszczali — cegiełkę po cegiełce. Kiedy tak dekomponowano przędzalnię, stały już i od dawna służyły uczelni gmachy Wydziału Chemicznego, Włókienniczego, Mechanicznego, już się nawet dokonała ekspansja na drugą stronę Gdańskiej, gdzie twarde zajęli pozycje elektrycy z elektronikami i Chemia Spożywcza. Technika Radiacyjna osiadła aż na Wróblewskiego, a Budownictwo z Architekturą zaszły Hale Sportowe od tamtej, jeszcze dalszej strony. Żaden z tych gmachów nie urósł bez zahamowań i kłopotów. Ile tam nagadano o „braku mocy przerobowych", „froncie robót", problemach zadaszenia i podpiwniczenia! Tego by na polkorfamie nie spisał. Jeszcze się uchował kawałek starej tkalni — tam docent dr Zdzisław Haś zadziwia świat azoto-nasiarczaniem. Jeszcze farbiarnia i suszarnia tkwią na starych pozycjach — w nich Instytut Pojazdów wtrąca swoje trzy grosze w problemy polskiej motoryzacji. Ale bałbym się wróżyć tym budynkom długi żywot.

Rozpoczęła Politechnika działanie na różnych poziomach, chodziło bowiem o to by dać szanse dokończenia studiów tym, którzy zaczęli je w różnych przedwojennych latach. Rychło więc nadarzyła się okazja wyolsania pierwszego dyplomu. Widniało na nim nazwisko WŁADYSŁAWA MARKOWSKIEGO. Poszedł w Polskę tworzyć przemysł. Natomiast na dyplomie numer dwa widnieje skądś nam już znane nazwisko — MIROSŁAWA BANASIAKA, późniejszego prorektora.

Pogoń za białkiem

Obok pierwszych dyplomów inżynierskich — pojawiły się pierwsze doktoraty. Jedną z pierwszych prac doktorskich obronił dzisiejszy profesor **Stanisław Zagrodzki.** Mowa tu o nim będzie z dwóch co najmniej powodów. Po pierwsze — jest jedną z tych uczelnianych wielkości, które zostały wyróżnione przez władze państwa. Otrzymał Nagrodę Państwową za prace z dziedziny postępu technicznego. Drugi powód to ten, że jego nazwisko prowadzi nas wprost do dziedziny dla kraju doniosłej, a mającej w łódzkiej uczelni status specjalny: Chemia Spożywcza — jedyny wydział w Polsce.

Nie tu miejsce na wykład „geografii głodu". Chociaż zachwiały się prognozy dotyczące rychłej katastrofy przeludnienia świata, głód dokucza milionom. Szukanie żywności jest zajęciem humanitarnym. Z punktu widzenia kraju, w którym nikt nie głoduje — również i rentownym. Specjalizujący się w cukrownictwie profesor Zagrodzki widzi piramidy cukru oraz — złotówki, miliony złotówek i dolarów w urzeczywistnianiu idei, jakie się rodzą w pracowniach uczonych. Lubi chłop jesienią ściąć liście buraczane, by się nimi przypodchlebić krowie. A okaleczony burak, jeśli nadal tkwi w ziemi, wypuszcza nowe liście kosztem 20—30 gramów cukru z każdego kilograma wagi. Taki jest wynik badań. Jeśli błąd ten powtórzy połowa plantatorów, kraj straci w danym roku około 100 tysięcy ton cukru. Stąd frazes o kolosalnej przyszłości myślenia.

Z inspiracji profesora uczniowie jego poszli jeszcze dalej w tych dociekaniach. W soku buraczanym jest obok sacharozy białko. Pozbywają się go, choć kto inny życie trawi na poszukiwaniu białka, bo bezcenne! Kiedy się je usunie z soku, ma postać błotnistej papki. Można ją zużyć jako nawóz (wydajność buraków wzrasta wtedy o 10 proc.), albo jako paszę — zamieni się w mleko i mięso. Ale chłopi nie chcą się paprać w tym błocie, więc się je wypuszcza do rzek. Kiedy czytamy w prasie o ławicach śniętych ryb płynących od cukrowni usytuowanej w górnym biegu rzeki, to właśnie to „błoto" zawierające cenne składniki stało się trucizną dla ryb. Aby nie gwałcić naturalnego pędu chłopów do czystości, zachować białko dla gospodarki i nie zanieczyszczać środowiska, opracowano w instytucie metodę suszenia „błota" na mączkę, przy wykorzystaniu ciepła gazów uchodzących z każdej cukrowni przez komin. Koszt urządzenia trzy razy mniejszy niż urządzeń oczyszczających ścieki. Ale, jak dotąd, nie ma komu produkować.

Gdyby się stał cud na Wisłą i przemysł począłby na wielką skalę urzeczywistniać pomysły uczonych, mielibyśmy białka ile dusza (? — ciało!) zapragnie. Znaczne jego ilości staralibyśmy się przerobić na mięso i mleko, dodając je bydłu do pasz. Rzecz jednak w tym, że białko dodane do paszy jest przyswajane przez organizm zwierzęcy tylko do pewnej granicy. Winien temu niedostatek aminokwasu zwany l i z y n ą. Jeśli wraz z białkiem damy krowie lizynę, stworzymy sytuację korzystną. Ale skąd wziąć lizynę? Niektóre kraje już ją produkują, wykorzystując jako surowce melasę, mączkę sojową, orzeszki ziemne. W Politechnice Łódzkiej postawiono sobie pytanie: czy wiele jest sensu w produkowaniu żywności z... żywności? I zespół koordynowany przez doc. dr **Piotra Moszczyńskiego** opracował metodę syntetyzowania lizyny z surowców chemicznych, nie spożywanych przez żywe organizmy.

I wreszcie żywność, jeśli już ją mamy, może ulec korzystnym zmianom np. smakowym dzięki ingerencji zaprzyjaźnionych z człowiekiem drobnoustrojów, może ulec zepsuciu, jeśli jej nie uchronimy przed działaniem bakterii człowiekowi wrogich. A to — domena prof. dr **Jadwigi Supińskiej-Jakubowskiej** i doc. **Heleny Oberman.**

Włókiennicy i elektrycy

Innej z najważniejszych obok jedzenia potrzeb ludzkich służą tam, gdzie najłatwiej znaleźć następne z wymienionych wyżej nazwisk — prof dr JANUSZA SZOSLANDA. Wydział Włókienniczy dał dotąd Polsce 900 dyplomowanych specjalistów, w tym 14 doktorów. Pracownikom Wydziału starcza inwencji, by estetyczne, trwałe i miłe w dotknięciu było to wszystko, co przędzone, tkane, dziane a nawet klejone. Ale my, zwyczajni ludzie oceniamy te rzeczy według końcowego wyniku i grymasimy. Więc włókiennicy biedzą się latami, by nasze gusta zaspokoić, by wszystko obracało się szybciej, było bardziej nowoczesne, „szałowe". Prof. Szosland mówi: — OPTYMALIZACJA WARUNKÓW TKANIA, albo: — INTENSYFIKACJA PROCESÓW WE WŁÓKIENNICTWIE. A nam o nazwę nie chodzi. Podziwiamy, że umieją.

Nie tylko to umieją. Elektrycy Politechniki Łódzkiej nie mogli sobie poradzić ze skonstruowaniem „oporników bezindukcyjnych", bo im się z rąk wymykały przewody cieńsze niż włos. Więc im pomogli dyplomowani tkacze i dziś szeroko stosuje się w przemyśle „tkane oporniki bezindukcyjne".

Za jeden z największych wynalazków włókiennictwa światowego uważa się dziś metodę przędzenia zwaną „wir". Cóż to takiego? — Dawne prządki, te o których tak piękną pieśń skomponował Moniuszko, przędły, wyciągając włókna z kądzieli i skręcając je przy pomocy wrzeciona. A tutaj w i r pędzącego powietrza wyrecza prządkę. Idea zrodziła się w Politechnice, zrealizowali ją wychowankowie zatrudnieni obecnie poza uczelnią. A oprócz „wiru" jeszcze dziesiątki innych spraw, o których nam, laikom nawet się nie śniło: przędą wrzecionem, czy bez — mało nas to wzrusza. Włókno naturalne czy sztuczne — tą sprawą bardziej się interesujemy. Chcemy modnych dzianin — to prawda. Ale — jakie maszyny pracują na nasz wygląd, to nie nasza sprawa. A oni, włókiennicy tym żyją.

Co można zamienić w papier

Tu mała przerwa w poszukiwaniu studentów spotkanych obok niezidentyfikowanej bogini tym spowodowana, że skoro poznaliśmy dwa z unikalnych wydziałów Politechniki, trudno przejść obojętnie obok jeszcze jednej jedynej w Polsce placówki naukowej, jaką jest Instytut Papiernictwa i Maszyn Papierniczych PŁ. Owszem, istnieje w Łodzi resortowy Instytut Celulozowo-Papierniczy, ale ten zajmuje się tylko technologią papieru, podczas gdy profesor **Edward Szwarcsztajn** ze swoim zespołem prowadzi badania nie tylko nad produktem, ale i maszynami.

Dzisiejsze światowe kłopoty z papierem wynikają głównie z braku surowca. „Papierówka" z drzew iglastych nie nadąża za potrzebami, więc w laboratoriach szuka się innych rozwiązań. W Politechnice Łódzkiej obliczono, że odpady dębu, jakie niszczeją, warte są 200 milionów złotych rocznie. Znaleziono więc sposób ich przerobu na papier. Nie tylko dębu. Również grabu, olchy i topoli.

Nie uszły też uwagi papierników łódzkich hałdy trocin zalegające tartaki i fabryki mebli. Czego się tylko dotkną — zamienia się w papier. Współczesna przygoda króla Midasa. Tyle że bez złota. Gdyby jeszcze leśnictwo nadążało za myślą naukową i dostarczało tyle drewna, ile jest potrzebne! Na Politechnice rodzą się idee. Jeśli zaś idzie o drzewa, to jeszcze ich tam kilka, owocowych czai się nieopodal bogini, ale jest to temat poruszany niechętnie.

Bomby

O Międzyresortowym Instytucie Techniki Radiacyjnej nie można powiedzieć jak o trzech poprzednich placówkach, że jest w Polsce unikalny. Ale pewne fakty wskazują na jego wagę w dziedzinie polskiej atomistyki. Dyrektor instytutu, prof. dr **Jerzy Kroh** pełni funkcję wiceprzewodniczącego Europejskiego Towarzystwa Chemii Radiacyjnej im. Millera, a jest też członkiem Zarządu Międzynarodowego Stowarzyszenia Badań Radiacyjnych. Oprócz tego wymienić by należało cały szereg funkcji pełnionych przez niego w krajowych instytucjach związanych z badaniami jądrowymi. Ale to są tylko zewnętrzne oznaki wagi, jaką przywiązuje się w kraju i na świecie do osiągnięć i możliwości tego młodego przecież instytutu. Dysponuje on niewielką kamerą radiacyjną, w której „bomba" kobaltowa wychodzi z podziemia za naciśnięciem guzika i emituje promienie na podstawione przedmioty. Mogą to być poddawane sterylizacji produkty żywnościowe, materiały lekarskie itp. Promienie kobaltu mogą też uszlachetnić tkaninę bawełnianą, nadając jej właściwości niemnące. Wiele zastosowań już znaleziono, innych się szuka.

Owa, jak ją nazywają, „bomba" to zespół ładunków kobaltu, z których każdy zamknięty jest w stalowej powłoce mającej kształt długopisu z gałką na jednym końcu. Drobiazg taki kosztuje 800 tysięcy złotych. Rozpad substancji promieniującej wynosi w ciągu roku 13 procent. A więc po pewnym czasie taki wyczerpany ładunek należy wymienić na pełnowartościowy. Mamy więc „odpad" promieniujący. Kosztuje on jeszcze 70 tysięcy złotych, a ukrycie go tak, by nie wywierał szkodliwego wpływu na otoczenie jest również bardzo kosztowne. Dość powiedzieć, że transport takiego „długopisu" z gałką odbywa się w pojemnikach stalowych wypełnionych ołowiem. Całość waży półtorej tony. Podobnie musiałby być skonstruowany „mogilnik", gdyby chciano pozbywać się tego cennego „odpadu". Pracownicy instytutu znaleźli lepsze wyjście. Z tych częściowo wyczerpanych ładunków skonstruowali nową „bombę" i jej słabsze promieniowanie wykorzystują do stosownych celów.

Współpraca

Ostatnie to wydarzenie jest o tyle ważne, że od roku 1967 Politechnika intensywnie współpracuje z jedną z uczelni brytyjskich, mianowicie ze Strathclyde University w Glasgow. Widocznie korzyści są znaczne i obustronne, skoro rozszerza się obszary współpracy.

Pełnomocnikiem rektora do spraw stosunków z Glasgow jest prof. dr **Michał Jabłoński.** On i podległy mu Instytut Transformatorów, Maszyn i Aparatów Elektrycznych badają razem z Brytyjczykami zjawiska ferrorezonansowe w maszynach elektrycznych i transformatorach. Natomiast Instytut Technologii Fermentacji (doc. dr **Helena Oberan)** pogłębia na podobnych zasadach problematykę niższych mikroorganizmów. Instytut Biochemii Technicznej (prof. dr **Edward Galas)** szuka nowych źródeł białka, Instytut Mechaniki Stosowanej działa w dziedzinie dynamiki, zjawisk wibracji itp. — tu przedstawicielami polskiej myśli naukowej są głównie prof. dr **Jerzy Leyko** i prof. dr **Zdzisław Parszewski.** Zresztą istnieje tendencja rozszerzania współpracy.

Rozwijała się ona powoli, stopniowo. Zaczęło się od rzadkich wizyt, od obserwacji bardziej lub mniej dyskretnych, a potem związki się zacieśniły, pojawiły się akty uznania i kurtuazji. Prof. dr **Jerzy Werner** otrzymał od Brytyjczyków tytuł doktora h. c. Myśmy uhonorowali w ten sam sposób Sir Samuela Currana, pryncypała i wicekanclerza Uniwersytetu Strathclyde, czyli w naszej nomenklaturze — rektora. Wreszcie w roku 1977 wieloletni rektor PŁ a zarazem rzecznik opisanej współpracy, prof. dr **Mieczysław Serwiński** został uhonorowany podobnym doktoratem.

O profesorze Serwińskim należało mówić w związku z Wydziałem Chemii Żywności. Był bowiem założycielem i długoletnim kierownikiem Katedry Inżynierii i Aparatury Chemicznej na tym wydziale.

Po złożeniu mu wizyty nie trzeba przechodzić na drugą stronę ul. Gdańskiej, by trafić do pawilonu Wydziału Elektrycznego, a w nim do Instytutu Automatyki. Honory domu czyni prof. dr **Władysław Pełczewski,** entuzjasta tej najdalej w przyszłość sięgającej dziedziny nauki. Dla niewtajemniczonych główny temat badań brzmi niezrozumiale: zagadnienia teorii sterowania ze szczególnym uwzględnieniem sterowania optymalnego i superoptymalnego oraz związane z tym zagadnienia syntezy układów. Wystarczy dać jednak kilka przykładów zastosowania, by sprawa stała się oczywista. Tutaj więc powstało studium sterowania systemem wodnym Łodzi i regionu. Tu opracowano pewne zagadnienia automatyzacji w szeroko rozumianym przemyśle. Tu wreszcie (we współpracy z zakładami Mera-Poltik) zgłębia się zagadnienia sterowania procesami technologicznymi w przemyśle włókienniczym.

Powód do dumy

I w ten sposób odszukałem prawie już całą ową grupkę pierwszych studentów Politechniki. To prawda, że są starsi o tych trzydzieści parę lat, ale legitymują się dorobkiem naukowym. Są dostojni na tle zmienionych murów uczelni, które z dnia na dzień zatracają cechy ceglanych ruder z okresu raczkowania. By dokończyć poszukiwań, jeszcze jedna wizyta w gmachu Wydziału Chemicznego, którego pierwsze piętro zajmuje Rektorat. Jego Magnificencja prof. dr EDWARD GALAS ma dyplom dopiero z roku 1955 (jest rówieśnikiem innego absolwenta PŁ., prezydenta miasta), mijamy więc drzwi prowadzące do jego gabinetu, by zastukać do następnych i zamienić parę słów z prorektorem prof. dr TADEUSZEM KOTEREM, gdyż już go znamy z pierwszych stron reportażu.

Nie dotarłem do jednej tylko z wcześniej wymienionych osób — mgr inż. ANTONIEGO KOTEŁKI. Szukać go należy bowiem pod zgoła innym adresem — w fotelu rektorskim Akademii Medycznej. Wiele lat temu został „skaperowany" z Katedry Technologii Kauczuków i Gumy PŁ do Katedry Technologii Chemicznej Środków Leczniczych UŁ. A potem placówka ta wydzieliła się wraz z niektórymi innymi w Akademię Medyczną.

Wszyscy oni, a wraz z nimi 1370 nauczycieli akademickich i pracowników naukowo-badawczych sprawili, że w roku 1976 Politechnika Łódzka wyróżniona została orderem Sztandaru Pracy I klasy. W czasie uroczystości dekoracji rektor, prof. dr Edward Galas powiedział: — Według oficjalnych materiałów Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki Politechnika Łódzka zaliczona została do grupy tych uczelni, w których nastąpił największy przyrost zgłoszeń do opatentowania w roku 1975. Efekty ekonomiczne uzyskane przez jednostki stosujące nasze patenty wyrażają się sumą 75 mln złotych i stawiają uczelnię n a d r u g i m m i e j s c u s p o ś r ó d u c z e l n i t e c h n i c z n y c h k r a j u.

Tych skromnych trzydzieści kilka lat istnienia, to tak niewiele w zestawieniu ze stuleciami, w ciągu których promieniowały na kraj inne szkoły wyższe. A okazuje się — nie tylko lata wyznaczają pozycję wyższej uczelni. I uczucie dumy, że własnymi rękami.

KRYTYKA LITERACKA

CASUS WOJACZEK

Jest ja
ale mnie nie ma

Te słowa z wiersza otwierającego zbiorek „Martwy sezon" jak żadne inne nadają się na motto kilku refleksji wywołanych lekturą „Utworów zebranych" Rafała Wojaczka.

Życie Rafała Wojaczka zamknęło się datami 1945—1971. Jego twórczość, czterema zbiorami poezji i niedokończoną powieścią o wyraźnie autobiograficznych rysach. Wszystkie te utwory przypomniał, a właściwie chyba dopiero teraz naprawdę rozpropagował pieczołowicie przygotowany tom, jakim Ossolineum uczciło pamięć nieżyjącego poety. Wojaczek odebrał sobie życie 11 maja 1971 roku. Samobójstwa ludzi pióra, zwłaszcza młodych, nie są w historii literatury zjawiskiem szczególnym. Ta śmierć nie była jednak taka zwyczajna, skoro mówi się o niej teraz, a i mówiło poprzednio, z zaaferowaniem, zdziwieniem, ale raczej bez zaskoczenia. Bez zaskoczenia, bo cała twórczość literacka Rafała Wojaczka była niejako jej przygotowaniem, wstępem do legendy, którą autor „Nie skończonej krucjaty" przygotowywał sobie z niezwykłą konsekwencją i skutecznością. Legenda wyprzedzała znajomość twórczości Wojaczka jeszcze za życia poety, a i obecnie wśród wielu kibiców życia literackiego bodaj bardziej jest znana niż jego wiersze.

Siła legendy wzięła się stąd zapewne, że poezję swą usiłował tworzyć Wojaczek życiem. Przeciwstawiał się znanemu powiedzeniu Norwida, że poetą się nie jest — poetą się bywa. On poetą b y ł... Poetą — jak napisał Tymoteusz Karpowicz, autor wstępu do „Utworów zebranych" i wierny mecenas Rafała Wojaczka — i n t e g r a l n y m, zmierzającym ku przezwyciężeniu odwiecznego dualizmu: życie — akt twórczy. Starożytni powiadali: „primum vivere, deinde philosophari" Tę prawdę Wojaczek chciał również przezwyciężyć, traktując swe życie jako sposób twórczości — słowo zrastało się u niego z ciałem, ciało ze słowem. Zaś zestaw słów-kluczy — właściwych tej poezji ułożył się następująco: Ojczyzna — Kobieta — Miłość — Poezja — Śmierć.

Zarówno wiersze, jak i życie Wojaczka prowokowały komentarze przeładowane emocją, mit buntownika i maksymalisty powodował u rówieśników poety i niektórych krytyków skłonność do nadużywania sentymentalnych stereotypów, wyzwalał łatwe kreowanie Wojaczka na duchowego lidera pokolenia. Czy nie była to w jakimś sensie powracająca fala „pięknych dwudziestoletnich"?

Tymoteusz Karpowicz w ciekawie napisanym wstępie dał głęboką, wnikliwą, ale może nieco przeinterpretowaną wykładnię tej poezji. To prawda, że casus Wojaczek prowokuje do porównań, do wyszukiwania literackich patronów i rodowodów. Tak też przyjęto i „Utwory zebrane" — recenzenci znów bardziej zwrócili uwagę na powinowactwa literackie niźli na same teksty poety, który tak pisał o sobie w wierszu „Koniec świata":

To mogło być we wtorek albo w piątek
Niewykluczone też że w poniedziałek lub w środę
A równie dobrze w czwartek sobotę czy w niedzielę
W styczniu lecz także w lipcu zgódźmy się
Że to przecież nie jest takie ważne
W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym
Zdaje się — którymś rano lub o zmierzchu
W samo południe albo o północy
W pogodę słoneczną może w deszcz może w czas zamieci
Na własnym pasku powiesił się
Na czymś stosownym czy nie na rurze od bojlera
Dwudziestoiluśtamletni skończony alkoholik
Rafał Wojaczek syn
Edwarda i Elżbiety z domu Sobeckiej

A przecież są to wiersze jakże głębokie. Są ustawicznym poszukiwaniem tego, o czym pisał wprost we fragmentach „Dzienników" — tożsamości własnej, personalnej, tożsamości pokolenia i społeczeństwa. W tych poszukiwaniach pomagał mu — choć może czasem przeszkadzał — status „luzaka", człowieka niczym nie skrępowanego, żadnymi konwencjami literackimi i życiowymi, bliskiego nihilizmowi. Jawny pesymizm najczęściej bywa wyrazem skrywanych emocji. W tym przypadku emocje były bardzo widoczne: metafizyczne, ale i te konkretniejsze.

Jak zwykle w podobnych sytuacjach czytelnika nie omija uczucie żalu, że rozwój talentu przerwany został aktem brutalnym i nieodwracalnym, że w słowach

jest ja
ale mnie nie ma

zawarta została istota owej niepotrzebnej tragedii. Czy rzeczywiście niepotrzebnej?

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

R. Wojaczek, Utwory zebrane, Ossolineum, Wrocław, 1976, nakład 10.000 egz., cena 80 zł.

FILM

„REBUS"

Film „Rebus" jest pierwszym pełnometrażowym filmem fabularnym Tomasza Zygadły, dokumentalisty reprezentującego pokolenie filmowców, które swą działalność twórczą rozpoczęło w latach 70-tych. Debiutem dokumentalnym Zygadły była „Szkoła podstawowa", który to film w 1970 roku zdobył na krakowskim festiwalu aż dwie nagrody: na krajowym — Brązowego Lajkonika i na międzynarodowym — Złotego Smoka. Późniejsza działalność dokumentalna Tomasza Zygadły („Ziemia", „Plener", „Robotnicy"), współreżyseria z K. Kieślowskim („W tym miejscu" i inne) w większości wypadków sięgała wysokiego pułapu możliwości tego rodzaju filmowego Tomasz Zygadło próbował z powodzeniem swych sił także jako reżyser widowisk teatralnych i telewizyjnych. W fabule zadebiutował realizując dla telewizji film „Brzydkie kaczątko".

Droga od dokumentu ku fabule nie jest niczym nowym w naszej kinematografii. Jest to także droga, co istotne, obfitująca w sukcesy artystyczne, co przypomnijmy przywołując choćby tylko nazwiska najwybitniejsze — Andrzej Munk, Marek Piwowski, Krzysztof Kieślowski. Przypomnienie to nie znaczy, że omawiany tu film „Rebus" jest już filmem wybitnym. Jest natomiast filmem ciekawym, godnym uwagi, zapowiadającym twórczość fabularną, której rozwojowi będziemy się przyglądać z dużym zainteresowaniem.

Można „Rebus" Tomasza Zygadły zaliczyć do tej grupy powstałych w ostatnich latach polskich filmów, które w sposób poważny potraktowały postulat tematu współczesnego. Współczesność w nich przedstawiona jawi się w sposób nie ułatwiony, co nadaje tym filmom znak jakości, któremu towarzyszy poczucie odpowiedzialności za to, co jest wokół nas. Filmy te poszukują zarówno pozytywnych jak i negatywnych problemów, zjawisk i cech współczesnego nam życia społecznego.

Tomasz Zygadło, podobnie jak wcześniej Mieczysław Waśkowski, Andrzej Trzos-Rastawiecki i Marek Piwowski, zajął się w swym filmie problemem tzw. marginesu społecznego. Wybór środowiska nie zawęził jednak obszaru refleksji tego filmu do spraw z owym „marginesem" związanych. Walory filmu, co nie tak często w kinie naszym się zdarza, mają już swe źródło w dobrym pomyśle scenariuszowym.

Student socjologii — Marek, przebywając w małym miasteczku bierze „na warsztat" grupę miejscowych chuliganów. Interesuje go struktura tej nieformalnej grupy, problem przywództwa, mentalność, obyczajowość, no i oczywiście — przestępczość. Właśnie powraca z wojska przywódca tej grupy — Czesiek. Obaj główni bohaterowie stają się przedmiotem analizy, która w filmie Zygadły przynosi dość nieoczekiwane rezultaty. Niebanalny charakter owej niespodzianki podbudowany jest rzetelną próbą prześledzenia motywów działania obu postaci oraz rzetelnym opisem ich kontekstów.

Ta postawa twórców filmu sprawia, że jego cechą bardzo istotną jest wiarygodność, co uznać należy za wynik dotychczasowych doświadczeń Tomasza Zygadły jako dokumentalisty. Dzięki wspomnianej rzetelności i wnikliwości opisu przedstawionych środowisk i sytuacji, dzięki analizie psychologicznej zajmującej się przede wszystkim sprawą motywów postępowania, z ekranu pobrzmiewa prawda. Wbrew wielu doświadczeniom jesteśmy w stanie wierzyć, że Czesiek naprawdę pragnie zmienić swe dotychczasowe życie, że osiągnął w wymiarze swych możliwości jego świadomość, że to on w całej tej historii jest bohaterem pozytywnym, a jego wykształcony kolega w sensie moralnym — kanalią. Motywy Marka są bowiem jednoznaczne — jego zainteresowanie grupą Cześka nie ma żadnych pozytywnie moralnych podstaw. Znalazłszy okazję do startu na drogę swej socjologicznej i dziennikarskiej kariery, będzie Marek z zimną premedytacją, szachrując miłością i koleżeństwem, krok po kroku ją realizował.

Tak to w filmie Zygadły problem „marginesu społecznego" sprzężony został z problemem postaw moralnych tych, którzy pragną go sądzić. Film stał się więc z jednej strony kolejnym głosem w dyskusji o problemach reedukacji, z drugiej zaś kontynuuje dyskusję o modelach życia i postawie odpowiedzialności za to, co nazywamy życiem własnym i życiem społecznym.

Poza podkreślonymi tu walorami filmu „Rebus" zwrócić jeszcze uwagę należy i na to, że debiutujący w fabule dał Tomasz Zygadło dowód umiejętnościom narracyjnym. Nasycone paradokumentalnymi walorami obserwacji sceny i epizody układają się w ciąg opowieści dynamicznej, nośnej, bez pustych miejsc. Niedopowiedzenie wobec zdarzeń i samych postaci jest zaś elementem aktywizującym widza. Są to cechy, których oczekujemy od nowoczesnego i poważnego kina. Miejmy nadzieję, że Tomasz Zygadło będzie je kontynuował.

EWA NURCZYŃSKA

TOMASZ SOLDENHOFF

MIT MAJSTRA

Wśród wielu propozycji, które nadesłano do ogłoszonego z okazji XI Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji w Łodzi (w czerwcu 1976) konkursu na debiut poetycki, tom wierszy Mirosława Boruszewskiego zaintrygował swoją odmiennością. Dobrze więc stało się, że jury ów opóźniony debiut 35-letniego dziś poety wyłowiło i nagrodziło, a Wydawnictwo Łódzkie opublikowało go w wysokim jak na debiut nakładzie 2 tys. egzemplarzy.

Utwory najbardziej dojrzałe i znaczące w tomie tym skupił **cykl „Rozmowy z majstrem"**, prezentujący tę odmianę liryki, którą zwykło się określać liryką inwokacyjną czy liryką apelu. W niej bowiem właśnie, jak pisze znany teoretyk literatury prof. Janusz Sławiński, „manifestacyjnej jawności podmiotu lirycznego towarzyszy wyraziste nastawienie wypowiedzi na adresata, a monolog liryczny konstruowany jest jako najczęściej retoryczny zwrot do odbiorcy".

Jak informuje krótka rekomendacja na okładce tomu, cykl „Rozmowy z majstrem" „poświęcony jest autentycznej osobie nieżyjącego już dziś majstra — onegdaj spolegliwego opiekuna autora w jego pierwszych krokach wchodzenia w zawodowe życie człowieka dorosłego, którego narrator wierszy odwiedza na cmentarzu i prowadzi (...) rozmowy". Ale mimo tak określonej sytuacji lirycznej skłonni jesteśmy uznać, że „rozmowy" te mają miejsce jedynie w świadomości poety, bo nie są to dialogi, tak jak się je zazwyczaj rozumie w epice czy w dramacie, lecz jeden nie kończący się monolog liryczny, złożony z obrazów i strzępów wspomnień, na które nakładają się refleksje płynące z obserwacji aktualnej rzeczywistości.

Zdawałoby się jednak, że budując niezwykłą, romantyczną scenerię „rozmów z duchem" majstra, wkroczy Boruszewski tym samym na teren poezji metafizycznej, roztrząsającej w majestacie śmierci sprawy ostateczne, związane z zagadkami ludzkiego bytu, tajemnicami istnienia itd.

W tym miejscu muszę zawieść tych czytelników, którzy spodziewaliby się po „Rozmowach z majstrem" mistyki, jakiegoś „wywoływania duchów", spirytualizmu, drugiej „Romantyczności"... Ale jeśli „Rozmowy" mają być czymś więcej niż prostym przypomnieniem obrazu majstra-opiekuna, nie tylko rekonstrukcją pamięci, ale także **kreacją**, nowym wyobrażeniem, **próbą stworzenia mitu, a więc i uwznioślenia „lirycznego ty"**, to muszą istnieć jakieś dające się określić zasady tej kreacji, związane z pewnymi wyobrażeniami o nieśmiertelności i życiu pośmiertnym.

U Boruszewskiego owe wyobrażenia nie są jednoznacznie przypisane jakiemuś jednemu systemowi wierzeń, są one nie religijnej, a poetyckiej, proweniencji, są wynikiem działania mitotwórczej wyobraźni poetyckiej.

Poeta wierzy zatem, że adresat jego wierszy, zmarły mistrz kontynuje życie po śmierci, wierzy w jego „żywot wieczny", którego początkiem zaledwie było życie ziemskie. Takie rozumienie obecnego statusu „lirycznego ty" zbliża poetycką wiarę do wyobrażeń chrześcijańskich. Z drugiej strony jednak wprost z kręgu wyobrażeń ludów pierwotnych wywodzi się przekonanie o tym, że zmarły aby kontynuować swe życie potrzebuje broni, narzędzi czy pożywienia.

Bohater wiersza „Emil" wybrał się w drogę do majstra, **„biorąc z ziemi narzędziowe marki i roboczą bluzę"**. Podobnie majster przeniósł się do „niebieskiej fabryki" ze swoją suwmiarką i francuskim kluczem w kieszeni. Zawarta w tej poezji wizja „tamtego" świata wyobrażona jest w kategoriach racjonalnych: świat ten jawi się jako **rzeczywistość analogiczna**, w wielu szczegółach **podobna do ziemskiej**, jeśli wręcz nie ta sama. W wizji nieba — poetyckim odpowiedniku religijnych wyobrażeń o państwie umarłych, w którym zbierają się wszystkie duchy, aby kontynuować swe życie, zakłada Boruszewski „ziemskość" życia pozagrobowego, mimo obecności typowo niebiańskich atrybutów: boga, aniołów itd. Wszędzie, w całej galaktyce — powiada — są **„jak u nas kominy fabryki i ludzie ludzie świtem idący wyrabiać plany"** („Tam").

Sytuacja grożąca wtargnięciem metafizyki sprowadzona została zatem do wymiarów zupełnie „ziemskich", realistycznych poniekąd, łatwo wyobrażalnych i łatwo wytłumaczalnych bez konieczności odwołań do religijnego konkretu. Zamiast typowych wyobrażeń o niebie, tych jakie zazwyczaj dziedziczymy po wierzeniach chrześcijańskich rodzi się **poetycki mit.**

Nawet jeśli w tej wizji nieba pojawia się słowo „bóg", to w ironicznej, wręcz bluźnierczej otoczce: **„Módl się może któryś da ci więcej złotych na godzinę"**. Boruszewski głosi bezużyteczność wiary, religii („Niebo"), nakłada maskę ateusza i brutalnego pozytywisty, który wybór między „życiem w obłokach" a „spokojnym chodzeniem do roboty" rozstrzyga na korzyść tego ostatniego sposobu istnienia („Skrzydła").

Znamienna jest jednak **opozycja**, w jakiej poeta manifestacyjnie sytuuje ów **kult realności.** Na przykład apoteozę fizycznego wysiłku, pracy materialnej, „roboty" i w ogóle **życia, w którym „nic nie trzeba domniemywać fakty mówią i robota"** („Wiersze") ustawia w opozycji nie tylko do własnych, marzycielsko-idealistycznych wzlotów, ale szerzej — w opozycji do świata marzycieli, myślicieli, poetów, estetów, kochanków oraz „urzędników" (tzn. tych, którzy „pracują umysłowo"). Wszyscy oni, wrzuceni razem do jednego worka, tworzą w przekonaniu Boruszewskiego jakiś „związek unikania robót ciężkich i lekkich", „stowarzyszenie nierozwiązywania problemów żadnych" („Listy"). Wszyscy godni są tylko pogardy. **Najbardziej zaś — poeci**, którym nie szczędząc złośliwych epitetów poeta Boruszewski wyznacza rolę bardzo żałosną. Również i dla samego poety pisanie wierszy jest czynnością wielce kompromitującą, źródłem nieprzyjemności i upokorzeń (w fabryce! — por. wiersz „Wstyd")...

W skierowanej do majstra prośbie o wydłubanie z ręki nie pasującej do niej „drzazgi" czyli... pióra („Ręka") ujawnia się masochistyczny nieco kompleks intelektualisty, gdzie indziej usiłującego zakamuflować swoje powołanie „robociarskim fasonem" czy natrętną stylizacją językową (różne: „nie ma sprawy", „zgrywa", „wywinąć orła" itp.).

Takich wierszy jak „Wstyd" powinno w cyklu „Rozmów z majstrem" zabraknąć. Sieją one niepotrzebne zamieszanie, odwracając fałszywą i kataryniarską kokieterią uwagę czytelnika od spraw naprawdę istotniejszych niż kłopoty jakie miał w fabryce poeta Boruszewski z powodu tego iż jest poetą.

Szkoda więc, że wskutek braku selekcji (która długiemu, wydłużającemu się w nieskończoność cyklowi wyszłaby na zdrowie, bo zamiast **mieszaniny** 38 wierszy mielibyśmy może **skomponowany** cykl) gubi się to, co dla tej grupy utworów najcenniejsze: **próba stworzenia mitu mistrza życia i pracy, mitu majstra.** Gdyby nie zgubne antytezy, w jakie wpakował Boruszewski sam w sobie piękny, choć może nieco pozytywistyczny zachwyt nad pracą ludzką, tą materialną, przy maszynie, a także nad techniką, gdyby więc nie fałszywy sposób „oczyszczania", nobilitowania autorytetu pracy fizycznej i dobrze pojętej fachowości, mielibyśmy do czynienia z naprawdę wzniosłym i rzadkim niestety na gruncie współczesnej polskiej poezji zjawiskiem i... zadaniem artystycznym, godnym najwyższej uwagi. Cyklu nie ratuje kilka udanych wierszy.

Nie ratuje go na przykład piękny w intencjach wiersz „Kwiat", w którym poeta daje się unieść wizji przesyconej podziwem dla ludzkiej pracy, dla wytężonego zmagania z materią (w obrazie wyrastającego z kawałka blachy kwiatu).

Podobnie wiersz „Odpowiedź", w którym człowiekowi-wytwórcy rzeczy, owemu homo-faber, producentowi „wiadra i łyżki" przypisana zostaje demiurgiczna boskość, moc o której on sam niestety zapomina, widząc w niej znak jakiejś „woli wyższej" a nie tej boskości, która mówiąc słowami Gombrowicza „z człowieka się rodzi"...

W tym akcie tworzenia sojuszniczką człowieka jest maszyna. Już twórcy awangardy krakowskiej żądali wprowadzenia tej wiernej dostarczycielki rzeczy w królestwo sztuki. **Świat ziemski (a i nadprzyrodzony także) jest w istocie u Boruszewskiego światem rzeczy, materialnym królestwem człowieka.** W „Rozmowach z majstrem" znajdujemy dowody nawiązania się między człowiekiem-twórcą a maszyną czegoś więcej ponad kontakt podmiotowo-przedmiotowy, jakiejś irracjnalnej więzi, którą człowiek obdarza materie, metale i maszynę, chcąc nie tylko wiedzą, ale i intuicją przeniknąć ich tajemnicze życie. W takich wierszach jak „Kwiat", „Dzwon" czy „Aleja" przedmiot traktowany jest jak organizm żywy, wyposażony we własny krwiobieg i życie wewnętrzne. Poeta wyznaje wprost: „jak wypluć tak z siebie nagle to żelastwo to jakby ludzi znajomych (...) rozstrzelać" („Awans").

Jest w tym coś z futurystycznej „lirycznej obsesji materii", ale wzbogaconej o przekonanie, że jedynie w świecie materialnym, wśród dziedziczonych z ojca na syna „kleszczy" i „pilników", wśród maszyn i „blach", w „bednarce twardej na uszy do wiader" („Przepuklina") współczesny, żyjący w zmienionym środowisku człowiek może znaleźć oparcie i pewność, miarę swej doskonałości i jej sprawdzian, skoro miara ludzka okazała się tak krucha i niepewna, niekonkretna...

Zderzenia mitu — człowieka — wytwórcy, wywoływanego wspomnieniem legendarnego mistrza i przyjaciela z przykrą, trudną, odstręczającą teraźniejszością, zderzenia ideałów z doświadczeniami „wieku męskiego — wieku klęski" przynoszą w „Rozmowach z majstrem" pełną goryczy zadumę nad światem, w którym przyszło nam żyć. Zmarły majster staje się rzecznikiem tego lepszego, lecz straconego bezpowrotnie świata, uosobieniem wszelakich cnót i zasad, godnych naśladowania: uczciwości, prawości, solidności, szczerości, wierności sobie.

Ale w naszym świecie — powiada poeta — królują nieszczerość, obłuda, cynizm. Światu temu trudno wyrwać się choć na chwilę metafizyki, marzenia, nie ma tu miejsca nawet na intymne „rozmowy z majstrem". Co więcej, grozi nam nadejście czasów, w których wszyscy będą chcieli być właścicielami „glancowanych teczek delikatnych rąk". „Kto naklepie wtedy gwoździ garnków wideł?" — pyta dramatycznie poeta...

Z przeczucia tej groźby rośnie potrzeba nawrotu do ideałów i cnót, których zbiornicą był mityczny majster, orędownik dobrej roboty, pasji i przywiązania dla pracy wytwórczej i społecznie użytecznej. Szkoda tylko, że w poezji Mirosława Boruszewskiego z afirmacji codziennej, wytężonej ludzkiej pracy na tej przypisanej nam wszystkim „równinie", na której możemy być pożyteczni" („Góra"), a więc i... szczęśliwi, wyłania się krąg ideałów nad wyraz skromnych, żeby nie powiedzieć minimalistycznych. Ideały te wyznaczają bowiem, oprócz codziennego „spokojnego chodzenia do roboty", „mieszkanie" i... „Syrenka" po szesnastu latach pracy... W państwie poezji Mirosława Boruszewskiego obowiązuje bowiem bezwzględny zakaz marzycielstwa, a wszelkie próby transcendencji podejmowane są nieśmiało i z poczuciem grzechu. Pisze poeta w „Sprawie": **„mam dwa garnitury majster dodatkowe spodnie koszul kilka majtek pantofle sandały wystarczy cierpliwe mówię do żony"...**

Nie jest jednak sprawą możliwą, jakoby życie mogło ograniczać się jedynie do **„spokojnego chodzenia do roboty"**, które jako obowiązujący modus vivendi deklaruje poeta w ostatnim wersie **„Skrzydeł"**. Nie oszukujmy się! Doświadczenie podpowiada nam coś zupełnie innego.

Mirosław Boruszewski: Krew i czekolada, WŁ 1977, Biblioteka Poetycka.

Feliks Rajczak

PROZA POETYCKA

WSPOMNIENIE O REPORTAŻU

Wyszedłem z miasta. Miasto miałem za plecami. Przede mną rozwinęły się trzy drogi. Poszedłem nimi jednocześnie, do wsi zarysowanych wzniesieniami zieleni na horyzoncie; zbliżając się rozróżniałem poszczególne zabudowania jak armaty ukryte w sadach.

Na jednej drodze nabrałem błota w prawy but, na drugiej — w lewy, na trzeciej — nie padało: niosłem parasol.

I szedłem — robiąc notatki do rozmów z sołtysami, gospodyniami, młodzieżą, których potem nie zastałem w domu.

DEBIUTANT

Dopadł do kiosku.

Wyrzucił z siebie: — „Wniebogłosy" — i trzy złote. Wziął pismo i szybko przerzucał szpalty. Jest, jest... Czytał, nie mogąc złapać tchu, swój wiersz bez tytułu.

— Ludzie! — pierś mu falowała. — Ludzie, patrzcie: widzicie mój wiersz? To ja go napisałem. Ja, ja.

Lecz ludzie pośpiesznie przechodzili, jedni w tę, inni w tamtą stronę. On jeszcze stał przy krawężniku chodnika, przyglądał się wierszowi.

I naraz ruszył, podskoczył, ale nie zamykał gazety.

Szedł.

BIAŁY KOGUT

Zabił białego koguta.

Przypomina: siekierą uciął mu głowę na pniu. Uczynił to z lenistwa. Nie chciało mu się iść na pole po ojca, by przyszedł zabić koguta. A krzyczeć nie mógł. Matka zapragnęła ugotować mu rosół, by wzmocnił swe chore płuca. Popełnił więc sam morderstwo.

Krew opryskała białe upierzenie koguta. To był piękny ptak. Długo walczył ze śmiercią: po odcięciu dumnej głowy ciskał się na murawie — aż ucichł. Ptak, który nie mógł się wzbić...

Dostojny kogut, nieszczęśliwy brat orła.

FRAGMENT POWIEŚCI

W naszym mieście zamieszkał powieściopisarz. Wieść ta wstrząsnęła miastem. Ludzie szli oglądać powieściopisarza. Myśleli rozsądnie, że osiedlił się w ratuszu. Na rynku, w środku miasta, zebrał się tłum.

— Gdzie jest powieściopisarz? — ktoś odezwał się w pojedynkę.

— Chcemy zobaczyć powieściopisarza! — zawtórowało kilka głosów.

Na ratuszu nikt się nie poruszał. Tłum kłębił się, wspierany nowymi posiłkami wynurzającymi się z ulic. Niebo zmierzchało. Stado gołębi zerwało się z dachów i przeleciało nad ratuszem. Jeden gołąb upuścił pióro, które zniżało się powoli, nad iglicą ratusza jakby się wzdrygnęło i uniosło nieco w górę. Nikt nie spostrzegł, że powieściopisarz dmuchnął z całej siły, by to pióro odpędzić od siebie. Stał na wieży ratusza, niewidoczny z dołu, i przyglądał się miastu i jego ludziom, swym wiernym czytelnikom, i tym, którzy nie przeczytali żadnej jego powieści.

Swoje wieczne pióro złamał przedwczoraj. Dość miał twórczości powieściopisarskiej. Chciał rozpocząć nowe życie. Ale nie wiedział jak.

POWRÓT DO SPALONEJ WSI

Świecił żółty miesiąc. Spoza jałowych wzgórz wyszliśmy na równinę. Przystanęliśmy w ciszy. Wskazał ręką:

— Nieco dalej moja wieś, pod płotem śpi.

Wyraźnie był wzruszony. Więc powiedziałem:

— Na co czekasz. Zapisuj swoje wzruszenia.

Położył mi głowę na ramieniu:

— Muszę zapomnieć... A gdy zapomnę — stracę pamięć. Idę raz jeszcze sprawdzić, jeszcze raz zobaczyć.

— Sobie nie wierzysz?

— Uwierzyłem. Gdy zapomnę, przypominał będę cienie, przez niepamięć śpiewał...

SZCZERE POLE

Ten zagon pod lasem uprawiało się raczej z miłości czy przywiązania do roli — nie przynosił on nijakiego pożytku: zbiory żyta czy łubinu wypłacały tylko za pracę, a czasami i nie, to zależało od roku i urodzaju. Praca na nim była prosta jak zagon.

W jesieni żyto siało się z płachty, bo siewnikiem nie opłacało się, zbyt daleko od zagrody leżał ten spłacheć ziemi. Kto by trudził konia, wprzęgniętego w żelazny dryl, po tej piaszczystej drodze prowadzącej na zagon. O konia na wsi dba się więcej niż o człowieka.

Żyto tu rosło samo, nie zasilane prawie żadnym nawozem prawdziwym ani sztucznym. Tylko skowronki nieco gnoiły ten zagon. A także badyle łubinu obrane ze strąków, potem przyorane, użyźniały go co dwa lata.

Bywało, gdy rok był przeokropny, że żyto tu nieraz wyrastało jak trzcina. Bo nigdy nie wiadomo co może wyrosnąć na szczerym polu.

DWUNASTU FILOZOFÓW CHŁOPSKICH

Wepchnąłem do łaźni dwunastu filozofów mieszkających na wsi, więc chłopskich. A sam wskoczyłem do przerębli na zamarzniętej rzece, pod którą płynęło dno.

A gdy wracali do domów czyści i różowi, wystawiłem do nich głowę i zawołałem: A kuku! — i schowałem się pod lód. Oni stanęli zdumieni i któryś z nich powiedział: „Jedna kukułka nie czyni wiosny".

Dusiłem się ze śmiechu w wodzie. Wynurzyłem łeb. Lecz oni poszli. Szybko wylazłem z przerębli i wskoczyłem w kozią skórę, którą zostawiłem na brzegu, i pognałem za nimi...

WIERSZE

CZESŁAW MIROSŁAW SZCZEPANIAK

☆ ★ ☆

Tak opustoszały nasze szpitale
tu jeszcze miał być pożegnalny
sen przy boku pielęgniarka
młoda uśmiecha się do
mnie na pewno wie że mam
słabość do B i a ł y c h
ścian

uśmiechem zapraszam ją do
s i e b i e (...)

☆ ★ ☆

zmuszono mnie bym pokazał paznokcie
obnażył i zdradził własne ciało
otoczkę skóry
bolącą bliznę od tamtych lat
chore nogi

przerwano mi sen, w którym idę
po przebudzeniu obejmuję nogi
okryte szczelnie B i a ł ą kołdrą z
papieru, na tym papierze B i a ł y m
czytam życiorys pisany wierszem, choć
wtedy to była proza na dobrą książkę

☆ ★ ☆

Tak cicho, a ja wciąż słucham
może ktoś nadejdzie, patrzę na
B i a ł y sufit na B i a ł e
prześcieradło znów wciąż ten sam
cień pokazuje szary
język od tamtych dni wyschniętych
gipsowych ust wspomnienia odchodzą z
nim do bram szpitalnych schowane w
ciepłusieńkie bandaże

JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI

☆ ★ ☆

Przeciw nieprawości
deszcz po szybach pisze
las rośnie i rosa
myśl za ptakiem leci

przeciw nieprawości
babunia się modli
zmarli z grobu wstali
krzyż w łopianach mokry

przeciw nieprawości
śpiewam sobie muzo
dwa osły słuchają
znów gdzieś zabrzmiał śmiech

przeciw nieprawości
u stóp swoich leżę
przeciw nieprawości...

LUPUS HOMINI AMICUS EST

Wilku w noc lutą
gdy drzazgi gwiazd
ścinają krew
wilku luty
co podrzucasz pyskiem
księżyc
naści mięsa naści
kości
może mnie
wilku ratuj
od d o b r o c i
wilku ratuj mnie
od l u d z i

ANDRZEJ WIKTOR MIKOŁAJEWSKI

PRZYPOWIEŚĆ Z MORAŁEM

ten ktoś
kto tu po mnie zamieszka
śmiechem zagłuszy ściany
które dla mnie milczały przyjaźnie
albo jak ja w oknie stanie
i pomyśli:
oto i nowa niewola
lub dalszy ciąg tej samej
lecz skoro przyjdzie mi znieść własną śmierć
pozostanę pokorny
w miłości tej samej co wieczność
w szczęściu którego nie zaznałem
w modlitwie do dnia
by mnie znowu pochłonął
w modlitwie do nocy
by mnie przemilczała
w nadziei
którą kiedyś miałem

ten ktoś
kto tu po mnie zamieszka
to życia mego
morał najlepszy

NOC I SŁOWA

Ramiona nocy
puste takie...
jak gdyby ciemność wypełniona
była
o locie śniącym ptakiem...
Bywa,
że wiersz w zamyśle kona.

Wyjrzyj w tę noc moich oczu
i odmów słowa,
co w milczeniu
walkę o prawdę jeszcze toczą
i tak jak one —
nic już nie mów.

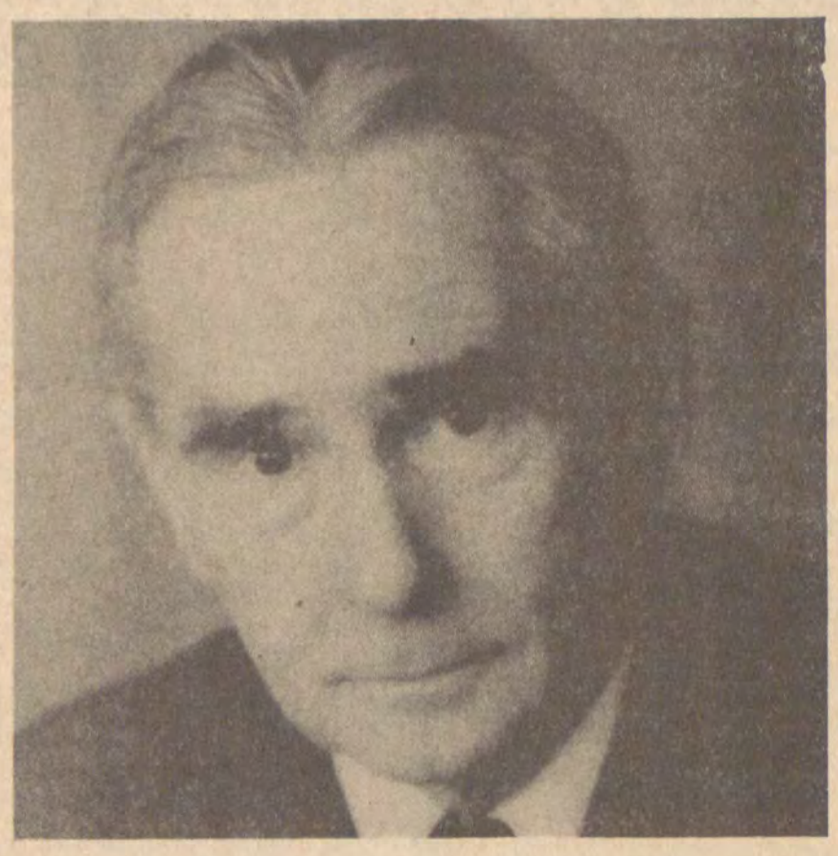

Foto: W. Parys

Mieszkanie dla każdego

Z PREZESEM WOJEWÓDZKIEJ SPÓŁDZIELNI MIESZKANIOWEJ W ŁODZI, CZESŁAWEM GŁĄBSKIM

rozmawia Włodzimierz Stokowski

— Panie Prezesie, VIII Plenum Komitetu Centralnego PZPR precyzuje zadania w zakresie zwiększenia budownictwa mieszkaniowego. Stawia to wiele nowych problemów przed spółdzielczością mieszkaniową, jako bezpośrednim inwestorem.

Czy zechciałby Pan określić rolę Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej w Łodzi, jaką ona odegra w realizacji tych ogromnych zamierzeń?

— W polityce społeczno-gospodarczej PZPR wytyczonej na VI i VII Zjazdach partii jednym z głównych zadań jest poprawienie warunków mieszkaniowych ludności oraz zapewnienie w następnym dziesięcioleciu mieszkania każdej rodzinie. Te wytyczne Partii i Rządu spowodowały odpowiednie zmiany i przegrupowania w spółdzielczości mieszkaniowej. Uwidoczniła się także potrzeba doskonalenia procesu inwestycyjnego, jak również doskonalenia polityki rozdziału mieszkań oraz znacznego polepszenia stylu pracy w zakresie utrzymywania w możliwie najlepszym stanie już posiadanych zasobów mieszkaniowych.

Wychodząc na spotkanie tym potrzebom, w 1975 roku dokonano istotnych zmian w organizacji spółdzielczości mieszkaniowej. W miejsce oddziałów Centralnego Związku Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego, sprawujących tylko funkcje koordynacji i nadzoru, powołano do życia Wojewódzkie Spółdzielnie Mieszkaniowe, powierzając im, obok wykonywanych już funkcji nadzoru i koordynacji, także szereg zadań gospodarczych. Zgodnie z programem uchwalonym 4 listopada 1975 roku przez zebranie założycielskie, Wojewódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa w Łodzi przejęła od spółdzielni budownictwa mieszkaniowego prowadzenie inwestycji mieszkaniowych i towarzyszących jako inwestor bezpośredni. Do tych zadań doszły jeszcze nowe w dziedzinie budownictwa jednorodzinnego. W tym celu powołano Zakład Budowlano-Remontowy działający w ramach Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej, który główny ciężar tego budownictwa wziął na siebie. W ramach tego zakładu, powstaje wytwórnia domków jednorodzinnych, która pozwoli na rozwinięcie szerokiego frontu tej formy budownictwa mieszkaniowego zarówno w naszym mieście, jak i w województwie. Niewykluczone, że tu i ówdzie wejdziemy z tym budownictwem także na tereny wiejskie.

Nastąpiła więc niejako specjalizacja w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego, a proces inwestycyjny został scentralizowany. Całe budownictwo mieszkaniowe i towarzyszące na terenie województwa wykonuje WSM jako inwestor bezpośredni. Żeby sprostać tym niebagatelnym zadaniom Spółdzielnia powołała do życia własny pion inwestycyjny: Zakład Projektowania i Usług Inwestycyjnych — „Inwestprojekt". W Zakładzie ocenia się przydatność terenu pod zabudowę mieszkaniową, przygotowuje się osiedla zarówno w zakresie dokumentacji terenowo-prawnej jak i technicznej, mamy bowiem w zakładzie również pracownie projektowe, które przerabiają w sumie około 30 milionów złotych rocznie. Jest to już zakład duży, zatrudniający ogółem 300 osób, w tym kadre wykwalifikowanych specjalistów.

— A zatem Zakład ten odpowiada za całość przygotowania budownictwa wielorodzinnego i jednorodzinnego, natomiast odpowiedzialność za wykonanie budownictwa jednorodzinnego spoczywa na Zakładzie Budowlano-Remontowym, o którym wspomniał Pan wcześniej?

— Tak. On jest wyspecjalizowany w sferze rozwoju budownictwa jednorodzinnego, on buduje, koordynuje budowę z innymi spółdzielniami, a także, jeśli można tak powiedzieć, namawia spółdzielnie zrzeszone w naszej WSM do budownictwa jednorodzinnego i stwarza im ku temu odpowiednie warunki. Będąc już przy tym pragnę podkreślić, iż spośród spółdzielni, które rozumieją potrzebę rozwoju budownictwa jednorodzinnego, na czoło wysuwają się spółdzielnie: w Pabianicach, Zgierzu, Aleksandrowie oraz w Łodzi — Spółdzielnia „Polesie" na Retkini, a „Lokator" w osiedlu Radogoszcz i „Rojna".

— Do tych decyzji Spółdzielni przywiązuje Pan dużą wagę?

— Ogromną, bowiem rozmach w budownictwie jednorodzinnym, w systemie gospodarczym, powiększy liczbę mieszkań, które w bieżącym pięcioleciu zaspokoją w pewnym zakresie potrzeby większych rodzin. Poza tym ta forma budownictwa stwarza lepsze warunki ludziom, których stać na takie mieszkania na warunkach własnościowych.

— W jakich rejonach Łodzi przewiduje się lokalizację domków jednorodzinnych?

— Między innymi na osiedlu Retkinia, na terenie zwanym osiedlem Pienista — obok Retkini, na Radogoszczu, gdzie nawiasem mówiąc, będziemy łączyli budownictwo jednorodzinne z zakładami pracy.

— Jak to rozumieć?

— Niektóre przedsiębiorstwa pragną przejąć budowę domków jednorodzinnych na rzecz potrzeb swoich pracowników. Z taką konkretną propozycją wyszła na przykład „Chemobudowa", a także kombinat, który buduje Retkinię. Podobnie działa Łódzkie Przedsiębiorstwo Budownictwa Miejskiego nr 3, tak samo Przedsiębiorstwo „Dąbrowa". A zatem udało nam się włączyć do prac na tym drugim froncie również przedsiębiorstwa budowlane. Mamy nadzieję, że za nimi — jak to się mówi — pójdą inni, że zaplecza techniczne wielu przedsiębiorstw przemysłowych pozwolą na włączenie się ich do tej formy budownictwa mieszkaniowego i powiększania tą drogą liczby mieszkań, na które czekają pracownicy tych zakładów.

— Rozszerzenie frontu budownictwa jednorodzinnego, w tej formie o której mówił Pan przed chwilą, stawia przed Wojewódzką Spółdzielnią Mieszkaniową moc nowych problemów.

— To prawda. Musieliśmy rozwiązać wiele zadań organizacyjnych, a więc scentralizować transport i ciężki sprzęt, z których muszą korzystać wszystkie spółdzielnie, zresztą nie tylko w sferze inwestycyjnej, lecz także w zakresie prac konserwacyjnych i remontowych. Musieliśmy również scentralizować zaopatrzenie. Słowem, z dawnego spółdzielczego urzędu, tak to określę, przekształciliśmy się w przedsiębiorstwo, któremu powierzono, obok innych obowiązków także obowiązki reprezentowania, koordynowania i nadzoru nad spółdzielniami budownictwa mieszkaniowego, zrzeszonymi w naszej WSM, a działającymi na terenie województwa. Jest to więc jakościowo zupełnie inna organizacja, która przez działanie gospodarcze ma przede wszystkim wpływać na poziom pracy zrzeszonych spółdzielni. Rozszerzył się zatem zakres oddziaływania WSM, wzrosła jej odpowiedzialność za wyniki pracy, zwiększyły się także kłopoty, ale jest to teraz przedsiębiorstwo na pewno sensowniejsze, które daje ludziom w nim zatrudnionym, a jest ich już około 600, większą satysfakcję z pracy: sama koordynacja z pewnością takiej satysfakcji nie dawała.

Pragnę w tym miejscu jeszcze raz podkreślić, iż nadzór nad inwestycjami, owa dbałość najpierw o koncepcję i konstruowanie planów, a następnie o ich realizację, to współdziałanie z wykonawcą, odpowiedzialność za przygotowanie obiektu i wreszcie przekazanie go spółdzielni w stanie „pod klucz", daje ogromną satysfakcję z dobrze wykonanych obowiązków i jest dobrą szkołą sumiennej pracy.

— Czy po dwóch latach działalności WSM w nowym kształcie można już mówić o jakimś wyraźnym postępie w jej pracy?

— Owszem. W takich dziedzinach, jak planowanie, koordynacja, uzgadnianie — postęp jest widoczny, a nawet nie przesadzę, jeśli powiem, że jest on duży. Natomiast nie mamy jeszcze, niestety, do odnotowania zadowalających wyników w zakresie jakości budownictwa mieszkaniowego. Wynika to, między innymi, z faktu, że wciąż jeszcze pracujemy na terenach nie całkiem uzbrojonych, że wciąż brakuje nam mocy przemysłowych na niektórych obiektach, że zachowanie tej kompleksowości działania przychodzi z trudem i że nasz partner ma nadal swoje trudności. W konsekwencji wszystkich tych trudności nie możemy się jeszcze wykazać efektami, na których nam bardzo zależy. Chcielibyśmy oddawać fragmenty osiedli i poszczególne budynki w stanie nie budzącym najmniejszych zastrzeżeń użytkowników, ani pod względem jakości, ani kompleksowości. W tej dziedzinie mamy jeszcze przed sobą moc pracy. Mam tu na myśli nie tylko Wojewódzką Spółdzielnię Mieszkaniową, lecz również przedsiębiorstwa budowlane i organa władzy naszego miasta. Liczymy na to, iż rozwiną one działalność w kierunku zwiększenia mocy produkcyjnych w robotach inżynieryjnych.

Jeśli niekiedy zdarzy się oddać do użytku dom, mniej lub więcej zadowalający pod względem jakości, to jest to zasługą w równej mierze wykonawców, jak i pracowników Spółdzielni, którzy nie przyjęli budynku z wadami. Jeśli natomiast oddaje się użytkownikom dom zły pod względem jakości, to ponosi za to winę zarówno wykonawca jak i ekipa spółdzielczości mieszkaniowej, która nie zwróciła na jakość wykonania budowy należytej uwagi. Spółdzielczość mieszkaniowa wzięła na siebie statutową odpowiedzialność za jakość mieszkań, reprezentując przyszłych mieszkańców i jednocześnie członków spółdzielni, i w ich interesie musi oddziaływać na jakość budownictwa.

— Czy uporządkowanie terenu wokół domu lub osiedla oddanego do użytku należy do wykonawców?

— Tak, ale wiedząc, iż wykonawcy znajdują się w trudnej sytuacji, przychodzimy im z pomocą. I tak, na przykład, w tym roku przerobimy na osiedlach w procesie inwestycyjnym 46 milionów złotych. Będą to głównie prace przy zazielenianiu osiedli, wykonywaniu małej architektury, itp. Nasze ekipy zakładów budowlano-remontowych w spółdzielniach, wykonując te prace na rzecz wykonawcy generalnego, robią to kosztem mocy przeznaczonych do wykonywania remontów i konserwacji. Możemy to robić dopóty, dopóki nasze zasoby budowlane są jeszcze stosunkowo nowe i dobrze utrzymane i nie potrzebujemy angażować do nich mocy remontowych. Jednakże proces starzenia się substancji mieszkaniowej zmusi nas z czasem do wycofania się z tej działalności i skierowania tych mocy zgodnie z ich przeznaczeniem.

— Panie Prezesie, referat Biura Politycznego KC PZPR, wygłoszony na VIII Plenum Komitetu Centralnego, zwraca uwagę, że poprawa warunków mieszkaniowych wymaga także stałego ulepszania zarządzania gospodarką mieszkaniową, utrzymania substancji mieszkaniowej na należytym poziomie.

— Niewątpliwie. Mamy jednak trudności. Pierwsza, to brak w niektórych osiedlach zakładów budowlano-remontowych. Nasz wykonawca, który buduje nam te osiedla, z powodu braku mocy produkcyjnych nie buduje w nich takich zakładów. Dlatego też wszystkie te zakłady, lub prawie wszystkie, które mamy w Łodzi i województwie wybudowaliśmy systemem gospodarczym i z konieczności budowaliśmy je dość długo. Dwa zakłady budowlano-remontowe powstały na Teofilowie, jeden na Zarzewie, kończymy w tym roku budowę takiego zakładu na Retkini i zabieramy się tam do budowy drugiego, ponieważ jeden nie wystarcza. Jesteśmy w trakcie budowania takiego zakładu na osiedlu Widzew-Wschód. Zakład budowlano-remontowy wybudowaliśmy także w Aleksandrowie i taki sam oddamy do użytku w Zgierzu już w tym roku. Ale przecież my także jesteśmy ograniczeni mocami produkcyjnymi i nie możemy wykonywać tych budów szybko. Realizujemy te inwestycje kosztem substancji mieszkaniowej już eksploatowanej.

— Czy wykonawcy osiedli nie mogliby budować swoich zapleczy w taki sposób, żeby później mogły one stanowić zaplecze budowlano-remontowe spółdzielni?

— Oczywiście, że mogliby. Dlatego też gdzie tylko można namawiamy i nakłaniamy do tego naszych kolegów — dyrektorów i naczelnych inżynierów przedsiębiorstw budowlanych. I w niektórych przypadkach z pozytywnym skutkiem. Ale generalnie rzecz biorąc, problem jest trudny do rozwiązania i to zaplecze musimy sobie organizować sami.

Drugą trudność stanowi brak ludzi z przygotowaniem do pracy w zakresie robót remontowo-konstrukcyjno-budowlanych. Mocno rozwinięte na naszym terenie przedsiębiorstwa budowlane chłoną wykwalifikowane kadry remontowe i konserwacyjne. Jest to dla nas konkurent zbyt silny i atrakcyjny z punktu widzenia oferowanej pracy oraz zarobków i mamy z tym coraz więcej kłopotów.

Trzecią niebagatelną trudność stanowi niedobór narzędzi przede wszystkim zmechanizowanych, elektronarzędzi. Dzisiejsze tempo prac remontowo-budowlanych wymaga nowoczesnego sprzętu narzędziowego. Dziś na przykład przysłowiowa młotła nie zamiecie miasta, tu już muszą działać odpowiednie narzędzia mechaniczne. Do tego rodzaju pracy łatwiej nawet o pracownika, kieruje on bowiem jakimś pojazdem i lepiej zarabia.

To są te największe progi, które utrudniają racjonalne i efektywne gospodarowanie zasobami mieszkaniowymi. Niemniej systematycznie podnosimy poziom tej gospodarki, choć — niestety — w niektórych osiedlach proces ten przebiega zbyt wolno. Wiemy o tym i usuwamy, i będziemy usuwać nadal przeszkody, które ten proces hamują. Wysiłki w tym zakresie zmierzają do poprawy warunków mieszkaniowych poprzez stałe ulepszanie zarządzania gospodarką mieszkaniową, na co nacisk kładzie referat Biura Politycznego KC PZPR na VIII Plenum Komitetu Centralnego.

— Referat Biura Politycznego KC PZPR zwraca również uwagę na kwestię estetyki domów i osiedli, kulturę obsługi mieszkańców osiedli oraz na szereg innych czynników ważnych z punktu widzenia administrowania osiedlem i wypracowania socjalistycznego modelu osiedla społecznego.

— Tak, dlatego też duży wysiłek kierujemy na usprawnienie naszej administracji spółdzielczej w osiedlach, której dotychczasowa działalność jest przedmiotem uzasadnionej krytyki społecznej, na zwalczanie biurokratycznego stylu kontaktów administracji z mieszkańcami osiedli, na utrzymywanie w budynkach porządku, czystości i ładu, na dbałość o estetyczny wygląd osiedli, ochronę środowiska.

— Panie Prezesie, okres wyczekiwania na mieszkanie jest jeszcze wciąż bardzo długi. W jakim stopniu wykorzystanie wszystkich rezerw i uruchomienie niezbędnych dźwigni w sferze budownictwa mieszkaniowego skróci ten okres wyczekiwania?

— Sądzę, iż w końcu bieżącej 5-latki okres ten skrócimy w Łodzi do 5 lat, a być może nawet do 4, jeśli uda nam się uzyskać większe moce produkcyjne. Dążąc do skrócenia czasu wyczekiwania na mieszkanie, wykorzystamy wszystkie możliwe środki. Dzięki przewidującej polityce łódzkiej instancji partyjnej i władz miejskich proces skracania okresu wyczekiwania na mieszkanie przebiega już od dwóch lat. Jest on jeszcze powolny, ale w miarę uruchamiania dalszych dźwigni w zakresie budownictwa mieszkaniowego, będzie nabierał tempa.

W spółdzielniach prowadzimy bardzo skrupulatne analizy w kwestii przydziału mieszkań. Nie najlepiej się działo, kiedy zakłady pracy otrzymywały spółdzielcze mieszkania do rozdziału wśród swoich pracowników. Nie zawsze bowiem otrzymywali je ci, którzy najdłużej czekali w kolejce, lub mieszkali w najgorszych warunkach. Teraz przydziela mieszkania spółdzielnia i dzięki temu skróciła się kolejka osób najbardziej potrzebujących mieszkań, głównie młodych małżeństw. Reprezentuję pogląd, iż mieszkania powinniśmy przydzielać przede wszystkim dwóm kategoriom osób wyczekujących w kolejce: tym, które mieszkają w skrajnie złych warunkach oraz tym, które założyły rodziny i nie mają gdzie mieszkać, a więc młodym małżeństwom, pod warunkiem wszakże, iż włączyły się one z całym poświęceniem w tworzenie dochodu narodowego. Nie wykluczą to oczywiście sytuacji wyjątkowych, kiedy chodzi na przykład o ludzi chorych lub kalekich.

— Obok zwiększenia ilości budowanych mieszkań, polepszania warunków życia na osiedlach, ważną rolę w mechanizmie funkcjonowania osiedla odgrywa sfera działalności społecznej i wychowawczej.

— Z całą pewnością. Działalność spółdzielczości mieszkaniowej w tej dziedzinie można by różnie nazywać: działalnością społeczno-wychowawczą, a także opiekuńczą czy też pracą społeczno-polityczną w miejscu zamieszkania. Formy tej działalności są bardzo bogate. W Łodzi mamy w tej dziedzinie sporo dobrych wyników, można by przytoczyć wiele przykładów takiej owocnej pracy. Mam tu na myśli działalność samorządów osiedlowych, przede wszystkim w sferze niesienia pomocy ludziom w miejscu zamieszkania. Ta gotowość niesienia pomocy ludziom, którzy jej potrzebują, zasługuje na szczególne uznanie. Dobrą pracą wyróżniają się samorządy osiedlowe na Teofilowie, na osiedlu Zarzew, na osiedlu Dąbrowa-Północ, Wielkopolska B, Pojezierska i innych. Do pracy społecznej w osiedlach włącza się młodzież szkolna, pomagają nam harcerze, spółdzielnie uczniowskie. Obserwujemy ożywienie działalności w klubach i świetlicach osiedlowych.

Pragnę ze swej strony zapewnić, że spółdzielczość mieszkaniowa w Łodzi uruchomi wszelkie możliwe środki, żeby zrealizować wytyczne w kwestii mieszkaniowej, zgodnie z założeniami polityki społeczno-gospodarczej PZPR, wytyczonej na VI i VII Zjazdach partii.

— Dziękuję za rozmowę.

Foto: Ewa Siek

PRAWDA W OCZY

Z PRZEWODNICZĄCYM ZŁ ZSMP MIROSŁAWEM CZESNYM

rozmawia Halina Batorowicz

—Już prawie półtora roku minęło od dnia powstania ZSMP. Tak się czasem zastanawiam, a myślę, że nie ja jedna tylko, co się właściwie wraz z rozwiązaniem ZMS i powołaniem Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej w ruchu młodzieżowym zmieniło?

— Zacznijmy od tego, że zmieniły się same założenia statutowe. Tego wymagał rosnący poziom intelektualny, ambicje i wyrobienie polityczne młodzieży. W założeniach programowych nastąpiły zmiany jakościowe.

— Jakościowe? Co to znaczy?

— ZSMP jest jedyną organizacją młodzieży pracującej i wobec tego członkowie organizacji muszą dobrze znać (to ich obowiązek) obydwa środowiska, w których Związek działa.

— Chodzi o miasto i wieś?

- Tak, właśnie. Zresztą do takiej znajomości wręcz zmuszają formy pracy w ZSMP.

— Jakie?

— Choćby tematyka dyskusji plenarnych. W obecności młodych z miasta mówimy o ważnych sprawach wsi. I odwrotnie. Zaobserwowałem, na przykład, że w czasie zebrań z tematem wiodącym „wiejskim" młodzież miejska słucha dyskusji niezwykle uważnie, wręcz z otwartymi, jak to się mówi, ustami.

— A kiedy tematem są sprawy „miejskie", np.: przemysł, produkcja?

— Wtedy wyjątkową uwagę obserwuje się w gronie młodzieży ze środowiska wiejskiego. To wydaje mi się najzupełniej normalne. Młodzież wiejska i miejska zrzeszona w jednej organizacji chce jak najlepiej poznać swoje środowiska.

— Czy jedyną okazją ku temu są zebrania organizowane?

— Oczywiście, że nie.

— Wobec tego przejdźmy od razu do problemu zwanego: integracją. Pamiętam, że jeszcze dziewięć, dziesięć miesięcy temu doprowadzenie do pełnego zespolenia młodzieży wiejskiej i miejskiej było naczelnym dążeniem łódzkiej organizacji ZSMP.

— Dziś integracja, na naszym terenie, stała się faktem.

— Twierdzenia, aby były wiarygodne, wymagają dokumentów.

— Myślę, że jednym z najlepszych przykładów są ostatnie żniwa. W minionych latach używaliśmy różnych argumentów, aby młodzież miejską zachęcić do udziału w zbieraniu plonów. Wyniki agitacji nie zawsze były imponujące. W tym roku umówiliśmy się z naczelnikami gmin, że w razie potrzeby będą do nas telefonować do godziny dziesiątej rano, a my na czternastą już wyślemy do nich nasze młodzieżowe ekipy.

- Ekipy składające się z młodzieży, która o trzynastej kończyła w fabrykach pracę na pierwszej zmianie?

— Tak.

— Ilu ZSMP-owców z miasta pracowało tego roku przy żniwach?

— Prawie 12 tysięcy.

— Czy ten liczny udział dziewcząt i chłopców rezygnujących z własnego odpoczynku na rzecz pomocy rolnikom jest rzeczywiście wynikiem pełnej integracji w Związku, czy też może w grę wchodziła wyjątkowo trudna sytuacja atmosferyczna tego lata i związane z tym kłopoty rolników?

— Chyba jedno i drugie. Ale chcę podkreślić, że natychmiastowa pomoc niesiona przez młodzież w okresie trudności na wsi znakomicie świadczy o społecznym i obywatelskim wyrobieniu naszych członków.

— Pamiętam, że tuż po powstaniu ZSMP rodziły się u was plany ścisłej współpracy łódzkich dzielnic z gminami w województwie.

— To już fakt dokonany. Dzielnica Górna ma bardzo mocne powiązania z gminą Rzgów, Śródmieście z Nowosolną, Polesie z Parzęczewem, Widzew z Andrespolem i Brójcami, Bałuty ze Strykowem i Aleksandrowem. Podobnie w Pabianicach i w Zgierzu. Takie układy i powiązania środowisk mają dużą wartość, właśnie integrującą.

— Nie chcę, aby to zabrzmiało złośliwie, ale przecież w przeszłości, nim jeszcze powstał ZSMP, kontakty młodzieży miejskiej z wiejską również miały miejsce.

— Ależ oczywiście. Tyle tylko, (takie jest moje zdanie) że istniało wtedy kilka barier.

— Barier? Jakich?

— Dziś może wydają się one śmieszne, ale wówczas porządnie przeszkadzały. Oto, na przykład, młodzi z jakiegoś miasta, czy wsi poza Łodzią pragnęli domówić się w tej, czy innej sprawie z młodzieżą dużej, łódzkiej fabryki. Ale, jak przyszło co do czego, bariera wyrastała na szczeblu: Zarząd Łódzki - Zarząd Wojewódzki. Kierownictwo łódzkiej organizacji było ważniejsze od wojewódzkiego, wojewódzkie od łódzkiego. Ambicyjki niszczyły czasem duże ambicje. Zresztą takie fakty miały miejsce nie tylko na naszym terenie.

— No, a poza wszystkim innym, ta podwójna przynależność młodzieży do organizacji.

— Powiedzmy: chłopak mieszkał na wsi, a pracował w mieście, w fabryce chcieli, żeby wstąpił do ZMS, a jego, z racji bliskich więzów rodzinnych, koleżeńskich, ciągnęło do ZSMW. Często więc taki chłopak czuł się zwyczajnie skołowany. Bywało, że w ogóle pozostawał na uboczu.

— Albo okłamywał: szefa ZMS, że działa w ZSMW, a przewodniczącego ZSMW, u siebie na wsi, że zapisał się do ZMS w fabryce.

— Tak było. Ale dajmy już spokój przeszłości. Pozostańmy przy tym, co dzieje się dziś. Otóż w ZSMP, w tym roku po raz pierwszy, postanowiliśmy zainteresować się postawami młodzieży mieszkającej na wsi, a pracującej w mieście. Chodziło nam o to, żeby zorientować się, czy młodzież wiejska zarabiająca w mieście pomaga rodzicom w gospodarstwie rolnym, czy wraz z rodzicami bierze odpowiedzialność za wyniki produkcji rolnej.

— Jakie wyniki tego rekonesansu?

— Raczej pierwsze spostrzeżenia. Niestety, niezbyt optymistyczne. Dlatego postanowiliśmy, że ZSMP rozwinie w środowisku wiejskim bardzo intensywną robotę, której celem doprowadzenie do zmiany postaw pewnej grupy wiejskiej młodzieży dojeżdżającej do pracy w mieście.

— Pomówmy teraz o sprawach młodego środowiska robotniczego.

— W nowej organizacji bardzo dużo miejsca poświęcamy problemom ambicji zawodowych. Mamy wiele różnych form działania zmierzających do rozbudzania u młodych potrzeby pracy solidnej i rozumnej, a także ambicji przodowania w środowisku.

— Jest nawet jakiś plebiscyt?

— Owszem. A chodzi w nim o wyróżnienie aktywistów ZSMP przodujących także w robocie zawodowej. Podkreślam: plebiscyt ma charakter powszechny i podczas wielostopniowych eliminacji bierze w nim udział kilkadziesiąt tysięcy młodzieży. W czasie plebiscytu szuka się dobrych, bardzo dobrych i najlepszych wśród doskonałych. W tym roku wojewódzkie eliminacje plebiscytu na najlepszego aktywistę ZSMP i najlepszego pracownika wygrali: ULKA RZETELSKA z ZTK „Teofilów" i KAZIMIERZ BRZEZIŃSKI z Pabianickiej Fabryki Narzędzi.

— Łódź i miejskie województwo ma wspaniałe tradycje robotnicze. Jaką rolę spełnia ZSMP w rozbudzaniu u ludzi młodych poczucia dumy wynikającej z przynależności do miasta, do określonej fabryki?

- Jedno muszę powiedzieć od razu: jesteśmy zdecydowanie przeciw wszelkiemu partykularyzmowi: nie chcemy, aby nasza młodzież hołubiąc to co łódzkie, odcinała się od tego, co krajowe. Bo uczymy kochać, cenić wszystko, co polskie. Jeśli zaś chodzi o łódzkie, to owszem: stale zachęcamy do poszukiwania dokumentów, do kontaktów z działaczami ruchu robotniczego, do zbierania wspomnień, zdjęć, pomagamy w tworzeniu w przedsiębiorstwach izb pamięci.

— ZSMP to związek młodzieży pracującej w mieście i na wsi. Ale wiadomo, że młodzież robotnicza stanowi w organizacji większość i, jeśli można tak określić, jest bazą rozwoju partii.

— Doskonale, że w rozmowie możemy poruszyć ten temat. Otóż ZSMP w naszym województwie rozwija intensywnie wiele form pracy sprawdzonych już w ZMS: prowadzimy dla naszych członków studia wiedzy o partii, mamy — ciągle jeszcze jedyny w Polsce — młodzieżowy WUML. Teraz do kół ZSMP (to miejsce powszechnego szkolenia naszych członków) wprowadziliśmy tematykę historii łódzkiego ruchu robotniczego i szereg dyskusji opartych o statut partii?

— To jest nowość w pracy ideowo-wychowawczej?

— Nie nazywałbym tego nowością. To była konieczność związana z uprawnieniami, które otrzymują wyróżniające się koła ZSMP.

— Chodzi o prawo kół ZSMP do rekomendowania swoich członków w szeregi partii?

—Tak, o to właśnie chodzi. Już 250 kół posiada uprawnienia nadane im przez zakładowe organizacje partyjne. Chciałbym w tym miejscu powiedzieć o jednej bardzo ważnej sprawie. Otóż nadanie prawa do rekomendacji jest zaszczytem, ale i obowiązkiem dla koła ZSMP. Uprawnienia nadane za aktywną i ambitną robotę zobowiązują do takiej samej roboty teraz i zawsze! Jeśli któreś z kół „obniży loty" będzie poważnie zagrożone możliwością zawieszenia mu prawa do rekomendacji. Wiele na ten temat mówimy w czasie rozpoczętej już kampanii sprawozdawczo-wyborczej w ZSMP.

— Właśnie: kampania. Jest pierwsza w nowym Związku. Czy ten fakt wpłynie w jakimś stopniu na przebieg dyskusji?

— Minęło dopiero półtora roku. Minęło aż półtora. Stwarzamy wszystkim naszym członkom: od kół począwszy, możliwość swobodnego wypowiedzenia się na temat programu Związku, na temat form i metod funkcjonowania organizacji. Musimy uzyskać odpowiedź na pytanie: co młodzież z naszych inicjatyw i poczynań zaakceptowała, co sama dla swego środowiska na dziś i jutro — proponuje?

- Odnosi się wrażenie, iż pozostawiacie swoim członkom dużą swobodę w wyborze i akceptacji planów działania?

— Najbardziej zależy nam na tym, aby plany działania przyjęte w czasie kampanii były identyczne z późniejszym ich wykonaniem. Koło nie musi wcale w swojej codziennej robocie, rzucać się na wielką politykę i wielką ekonomikę. Koło ma natomiast obowiązek zajmować się codziennymi ważnymi sprawami swojego kolektywu. I dlatego program działania, przedstawiany w czasie kampanii, nie może być programem przewodniczącego koła, ale wynikiem dyskusji i decyzji całego kolektywu.

— Czego jeszcze oczekujecie w tej kampanii?

— Zwierzeń (szczerych!) młodzieży na temat warunków pracy, wypoczynku, na temat możliwości dalszego kształcenia zawodowego, specjalistycznego.

— A kiedy zwierzenia będą już faktem i zanotuje się je w protokołach?

— Nie w protokołach! Przede wszystkim muszą być zakodowane w głowach aktywu funkcyjnego. Jako Związek mamy ambicję stworzyć młodym możliwości osobistego rozwoju. Żeby pomagać — musimy znać potrzeby.

— Teraz nie znacie?

— Każdy dzień niesie nowe problemy. Takie jest życie.

— Byłam na zebraniu sprawozdawczo-wyborczym Koła ZSMP Teksturowni w ZTK „Teofilów". W pewnym sensie zdziwił mnie fakt szczegółowej oceny postaw każdego z członków koła. Nigdy przedtem z tym się nie spotkałam...

— Otóż w ZSMP chcemy raz na zawsze skończyć z anonimowością. Z liberalizmem także zresztą. Będziemy mówić ludziom prosto w oczy, co o nich myślimy. A jeśli postępują źle, to będziemy szukać przyczyn takiego postępowania odrzucając jednocześnie zdecydowanie wszelkie tak zwane przyczyny obiektywne, które są najczęściej zwykłym parawanem dla lenistwa, bezmyślności, braku odwagi. Tak, na przykład, postąpimy oceniając działalność naszych członków wybranych do Rad Narodowych.

— Prawda w oczy! To wspaniała zasada! Czy jednak będzie ona obowiązywać także dalej niż koło ZSMP?

- Rozumiem pewną złośliwość pytania. Ale nie czuję się obrażony. Otóż tak: taka zasada musi w Związku obowiązywać od najniższej do najwyższej instancji. Mówię to z pełną odpowiedzialnością.

— Na czym jeszcze zależy wam w czasie kampanii?

— Na przekonaniu kół i zarządów zakładowych, że samodzielność (dajemy im coraz większą) łączy się z wielką odpowiedzialnością: za wykonanie tego co się zaplanowało, za codzienne sprawy młodzieży — nie tylko tej, co należy do ZSMP.

— Właśnie, a propos: ilu członków liczy sobie obecnie ZSMP w łódzkim województwie miejskim?

— 55 tysięcy.

— To dużo?

— Tak, wziąwszy pod uwagę fakt stałego żegnania się z organizacją ludzi wyrastających z wieku młodzieżowego. W ciągu ostatnich 8 miesięcy przyjęliśmy 4.400 nowych członków. Oczywiście będziemy nieustannie dążyć do wzrostu liczebnego Związku na naszym terenie.

— To pytanie będzie na wyrost. Czy w momencie rozpoczęcia kampanii sprawozdawczo-wyborczej już myślicie o przyszłości? Oczywiście, nie znając jeszcze propozycji z kół ZSMP, z dzielnic?

— Mniemam, że chodzi o zamierzenia zrodzone w samym Zarządzie Łódzkim? Otóż tak, myślimy przyszłościowo. Chcemy, na przykład, przy zarządach dzielnicowych, miejskich i gminnych doprowadzić do powstania grup młodych specjalistów: organizacji dobrej roboty, aktywnego wypoczynku, grup wynalazców, działaczy kultury itp. Chcemy tym grupom umożliwić wymianę doświadczeń między sobą, ale także zachęcić młodych do szerokiego rozwijania ciekawej działalności w różnych kręgach zetesempowskich. Będziemy to traktować jak ważne, partyjne zadanie, na przykład dla członków partii i jednocześnie naszym, ZSMP-owskich działaczy. A w ogóle przewidujemy zwiększenie obowiązków dzielnic oraz zarządów miejskich i gminnych w stosunku do młodzieży swojego terenu. Działacz etatowy Związku co najmniej trzy razy w tygodniu musi bywać w zakładach, w gromadach.

- A więc mniej urzędowania a więcej autentycznego działania?

—Tak, właśnie. O to nam chodzi. Także w odniesieniu do ZŁ, oczywiście.

— Jakie jest miejsce ZŁ ZSMP we współgospodarzeniu łódzkim województwem?

— Bardzo staramy się o to, aby było znaczące.

— Co w tym kierunku robicie?

— Wszystko!

— To znaczy?

— Staramy się, aby nasz Związek był organizacją silną, potrzebną młodzieży i autentycznie dbającą o jej interesy. To dążenie jest motorem wszystkich naszych inicjatyw, wszystkich form pracy. Stare jeszcze z okresu ZMS, sprawdzone formy (np. patronaty młodzieżowe, turnieje) rozwijamy i pielęgnujemy — nowe natomiast staramy się dostosować do wymagań intelektualnych i ambicji dzisiejszej młodzieży.

NA WSZYSTKO JEST SPOSÓB

— Jakim cudem Włosi utrzymują się mimo wszystko na powierzchni, skoro inflacja waha się w tym kraju już od lat, w granicach od piętnastu do dwudziestu procent?

Pytanie jest zasadnicze.

Istotnie, jak to się dzieje, że gospodarka we Włoszech biegnie swoim torem, chociaż wartość włoskiego lira obniża się coraz bardziej? Przecież zarobki w tej mierze nie wzrastają. Siła nabywcza spada. Nie tak więc łatwo ten koniec z końcem powiązać. A jednak Włosi jakoś to wiążą. Ekonomiści dochodzą dziś do wniosku, że cudu w tym nie ma żadnego. Jest natomiast zdumiewająca zdolność ludzi pracy we Włoszech do przystosowania się do warunków, jakie wytworzyła recesja.

Ekonomiści mówią: — Il lavoro nero.

Rzeczywiście. Sprawa jest jasna jak kryształ. Prosta jak „autostrada słońca" z Rzymu na Sycylię. Eksperci utrzymują, że mniej więcej pięć milionów Włochów, więc w gruncie rzeczy co piąta dorosła osoba pracuje dorywczo lub pracuje na stanowiskach, których oficjalnie nie ma. Nie istnieją. Prawie trzy miliony Włochów dorabia sobie pracą pokątną.

Wielu trudzi się w dwóch — trzech różnych zawodach po kilka godzin dziennie. Inni znów wykonują usługi, o których istnieniu władze nie mają zielonego pojęcia.

Bez pracy żyją tylko ptacy.

Otóż to. Więc trzeba sposobem. Trzeba pomyślunkiem. Całe włoskie rodziny pracują w domu. U siebie. Nie korzystają z ubezpieczeń. To prawda. Płaci się im poniżej stawek. To również prawda. Ale dobre i to. Kto pracuje ten zyskuje. Przeto całe włoskie rodziny chałupniczo wytwarzają mniej skomplikowane części do samochodów, cholewki do butów, długopisy, trudnią się tapicerstwem, szewstwem i krawiectwem. Emeryci zelują trzewiki. Strażacy malują w wolnych chwilach mieszkania.

I wszyscy jakoś żyją.

Ekonomiści unoszą brwi.

Coś tu nie tak. Przecież w kraju wysoko uprzemysłowionym, a takim krajem są współczesne Włochy, chałupnicza praca to przeżytek, to relikt przeszłości, to symptomy kraju gospodarczo zacofanego. Jak może konkurować chałupnik z automatyczną linią produkcyjną? Okazuje się, że może. Okazuje się, że to dla wszystkich jest nawet korzystne. Przedsiębiorcy zacierają ręce, bo chałupnika łatwiej trzymać na pasku. Chałupnikowi płaci się grosze. I żadnych przy tym nie ma podatków. Żadnych innych obciążeń. Bo oficjalnie żadnych chałupników we Włoszech nie ma. Urzędowo nie istnieją. Opłaca się to również chałupnikom. Ostatecznie lepszy rydz niż nic.

Il lavoro nero, czarna praca, ukryta w gospodarczym podziemiu? No i co z tego. Dzięki tej pracy mnóstwo małych przedsiębiorstw uniknęło plajty i bankructwa. Dzięki temu miliony włoskich rodzin unika głodu i nędzy. Jeśli ten system działa, jeśli przynosi efekty, to lepiej w te szprychy kija nie wkładać. Niech ten wóz się toczy. Nie przeszkadzajmy. Czasem jednak dochodzi do spięć nader ostrych. Ci wielcy fabrykanci gotowej konfekcji wnieśli protest do rządu. — Jak to się dzieje — pytają oburzeni biznesmeni — że uniformy dla siedemdziesięciu tysięcy „carabinieri" szyją właśnie dwie małe firmy po cenie o połowę niższej od obowiązującej? Czy to nie jest aby il lavoro nero?

Jest, na pewno jest.

Ale ministerialne departamenty udają głuchych. Jak jest tak jest, byle to grało. My o niczym nie wiemy. Zresztą trzeba rozsądnie. Trzeba rozumnie. Trzeba z wyczuciem czasu, sytuacji i tych wszystkich okoliczności, które towarzyszą rynkowi pracy we Włoszech. Jak jest tak jest, najważniejsze, że to funkcjonuje. A że to i owo, że kodeksy i paragrafy? Nie bądźmy zbyt przewrażliwieni. Ostatecznie i w kościele grzesznych wiele.

Tygodnik „Time" podaje, że prawdziwym virtuoso sprytu i przedsiębiorczości okazał się neapolitański policjant Fedele Amante. Ów człowiek wiecznie brał zwolnienia lekarskie. Ciągle mu coś dolegało. A to bronchit, a to grypa, a to bóle reumatyczne. Taki to był schorowany człowiek, że mundur zakładał od wielkiego święta. Ale pensje brał. Fedelo Amante pobił rekord w ubiegłym roku, kiedy to łącznie nie był obecny na posterunku przez trzysta czterdzieści trzy dni w roku. Był ciężko schorowany. To taki człowiek, o którym się mówi — „ani do patyny, ani do dziewczyny".

Myślałby kto.

Fedelo Amante niezłego wywinął koziołka. Kiedy był na lekarskich zwolnieniach, z zapałem studiował. Uzyskał przez te lata dyplom lekarski. Doszło nawet w zeszłym roku do tego, że będąc sam na zwolnieniu brał normalną pensję, a w tymże czasie przyjmował w mieszkaniu chorych. I w ten sposób również sobie dorabiał. No i się dochrapał. Właśnie z policji go zwolniono. No i co z tego? Jest lekarzem. Naród wali doń drzwiami i oknami.

— To virtuoso — mówi się o Fedele Amante w Neapolu.

Zaś Amante odpowiada skromnie:

— Takie jest życie, kochani, trzeba sobie jakoś radzić.

JAN BĄBIŃSKI

DIALOG W SPRAWIE ENERGII

Dalszy ciąg ze str. 1

Brak forum — negocjacji

Jedno warto podkreślić od razu: komisja energetyczna konferencji przez żadną stronę nie była traktowana jako forum, na którym w pełnym znaczeniu tego słowa można prowadzić negocjacje na temat cen surowców energetycznych i gwarancji zaopatrzeniowych. Pod pojęciem dialogu uczestnicy rozumieli coś innego: próbę dojścia do wspólnej oceny sytuacji oraz wspólnych wniosków i zaleceń, opracowanych na bazie przeprowadzonej analizy sytuacji energetycznej w świecie. Tak zdefiniowany dialog miał naprawdę miejsce, był uwieńczony sukcesem; doprowadził on do osiągnięcia głębokiego dwustronnego zrozumienia sytuacji i trudności oraz celów każdej strony.

Stworzył on również podstawy dla dalszej współpracy w dziedzinie energii. Zainwestowany w te rozmowy czas i wysiłek nie może być w żadnym wypadku uznany za stracony.

Problem zaopatrzenia

Dla wielu uczestników dialogu zaskakujący był upór, z jakim kraje OPEC mówiły o ograniczoności, a więc możliwości wyczerpania zasobów ropy naftowej, a także ich dążenie do uświadomienia konieczności oszczędnego zużywania energii i przestawienia się na alternatywne źródła energetyczne. Producenci mówili ciągle o zbliżającym się końcu „wieku ropy naftowej" i konieczności rozsądnego stosowania ropy naftowej w tych gałęziach przemysłu, w których nie można wykorzystać substytutów.

Uświadomienie sobie, że żyjemy obecnie w okresie przejściowym, jeśli chodzi o politykę energetyczną i że musimy się odpowiednio przygotować na nadejście nowego okresu stanowi istotę porozumienia między krajami produkującymi i importującymi ropę naftową. Podobnie jak w przypadku wielu innych surowców mineralnych, trwałość rezerw ropy naftowej jest także sprawą ceny. Musimy jednak zdać sobie sprawę z tego, że producenci i konsumenci ropy jadą na tym samym wózku jeśli chodzi o zbyt jednostronne nastawianie gospodarki energetycznej na wykorzystanie ropy.

Co dotyczy podstawowej sprawy zaopatrzenia w ropę naftową, kraje importujące ją mogą być w pełni usatysfakcjonowane wynikami rozmów. Konferencja uznała wielkie znaczenie gospodarcze, jakie ma zaopatrzenie w ropę dla wszystkich krajów. Nieprzerwane zaopatrywanie rynku światowego w ten surowiec jest celem, za realizacją którego opowiadają się także kraje produkujące, nie rezygnując przy tym z ewentualnego wykorzystania ropy jako broni w konfliktach mających podłoże polityczne.

Ceny

Najbardziej interesujące dyskusje związane były z problemami ceny ropy. Wrażliwość producentów na wszystko, co dotyczy swobody działania w tej dziedzinie przeszkodziła jednak w sformułowaniu wspólnych wniosków ostatecznych. W rzeczywistości również i tutaj dało się zaobserwować znaczne zbliżenie postaw. Dla wielu krajów produkujących ropę dochody ze sprzedaży tego surowca stanowią niemal jedyne źródło zysków z eksportu. Muszą one wystarczyć na sfinansowanie rozwoju w kierunku powstania państw przemysłowych ze zróżnicowaną strukturą eksportu. Za granicę ceny ropy uznano w każdym razie koszty alternatywnych źródeł energii, takich jak np. syntetyczna ropa osiągana na drodze destylacji węgla.

Ze szczególnym naciskiem wskazały kraje produkujące ropę na niekorzystne następstwa ciągłej zwyżki cen importowanych maszyn i innych towarów przemysłowych oraz usług, jak również wahań kursów walutowych. Innymi słowy kraje te usiłują znaleźć sposoby gwarantujące utrzymanie siły nabywczej dochodów pochodzących ze sprzedaży ropy. Wobec faktu, że OPEC kontroluje obecnie zupełnie ceny ropy, ten nacisk na utrzymanie siły nabywczej może wydawać się bardzo dziwny. Wyjaśnić go można między innymi tym, że kraje OPEC wrażliwe są na krytykę Zachodu wobec podwyżek cen ropy. Uznają one głosy krytyki za oznakę braku zrozumienia dla swych problemów. Chcą więc uczynić „wyrównywanie cen" mniej kontrowersyjnych. Inne wyjaśnienie — to fakt, że niektóre kraje OPEC przybyły do Paryża w celu poparcia kroków, zmierzających do powstania „nowego ładu ekonomicznego", w którym indeksacja ceny ropy naftowej mieć będzie bardzo duże znaczenie.

W oczach przedstawicieli krajów importujących ropę ten sposób oceny sytuacji jest jednostronny. Podkreślają oni konieczność uwzględnienia następstw wzrostu ceny ropy na sytuację gospodarczą świata — a więc wzrost gospodarczy, inflację, bilanse płatnicze, zatrudnienie i kursy wymienne. Chociaż np. Arabia Saudyjska uzasadniała swe umiarkowane stanowisko w sprawie cen względami koniunktury światowej — stanowisko Iranu na konferencji w Sztokholmie było podobne — ogół krajów OPEC nie miał ochoty na jasne sformułowanie takiego poglądu, być może ze względu na obawy, że zostanie to uznane przez kraje importujące ropę za gest zbyt wieloznaczący.

Zalecenia opracowane w analitycznej fazie konferencji, dotyczące np. konieczności zróżnicowania źródeł energii, stanowiły podstawę naszkicowania „międzynarodowego programu kooperacji i rozwoju w zakresie energii". Podkreślono w tym programie potrzeby i problemy krajów importujących ropę naftową, należących do grupy państw Trzeciego Świata. Wyjaśnić to można charakterem konferencji. W wielu krajach rozwijających się znajdują się jeszcze znaczne zasoby surowców energetycznych, które oczekują na odkrycie i wykorzystanie. Z tego punktu widzenia bardzo problematyczne wydaje się rosnące obciążenie dla bilansów płatniczych, związane z importem surowców energetycznych. Wzmożona pomoc gospodarcza leży w interesie wszystkich, a więc także krajów wysoko uprzemysłowionych, gdyż osiągnięte tą drogą odciążenie światowego bilansu energetycznego pośrednio zwiększa możliwości zaopatrzenia ich samych w surowce energetyczne. Należy również pamiętać o perspektywie zwiększenia eksportu maszyn i urządzeń związanych z wydobyciem i przetwarzaniem surowców energetycznych.

Zalecenia konferencji wyznaczają szerokie pole możliwości kooperacyjnych: od mocniejszego ukierunkowania działalności międzynarodowych organizacji pomocy gospodarczej i finansowej (Bank Światowy i in.) na projekty energetyczne, aż do intensyfikacji współpracy w dziedzinie badań naukowych i rozwoju. Amerykańska propozycja utworzenia międzynarodowego instytutu energetycznego, którego głównym zadaniem byłoby przekazywanie informacji i wiedzy z zakresu energetyki krajom rozwijającym się, nie spotkała się wprawdzie z jednogłośnym poparciem, wywołała jednak żywe zainteresowanie. Projekt będzie badany w dalszym ciągu przez ONZ.

Kontynuacja dialogu?

Projekt krajów uprzemysłowionych, postulujący utworzenie stałego forum konsultacji, zapewniającego kontynuowanie dialogu i realizację programu współpracy nie znalazł uznania w oczach przedstawicieli krajów Trzeciego Świata. Myślą przewodnią tej propozycji, która stanowiła także podstawę samej koncepcji dialogu Północ — Południe, jest pogląd, że po wysokich zwyżkach cen ropy, problemy energetyczne, a więc produkcja, ceny i zaopatrzenie w ropę, nabrały podstawowego znaczenia i wymagają stałej wymiany poglądów między zainteresowanymi stronami.

Reakcje w obozie krajów rozwijających się były zróżnicowane: niektóre państwa udzieliły pełnego poparcia projektowi, inne odrzuciły go stanowczo. Przyczyny negatywnej postawy niektórych krajów OPEC są z pewnością bardzo skomplikowane. Oprócz rozczarowania spowodowanego tym, że niektóre ich problemy, jak np: ochrona siły nabywczej dochodów z eksportu, nie zostały przez kraje wysoko uprzemysłowione potraktowane z należytą powagą, dużą rolę odegrała także obawa, że forum tego rodzaju służyłoby w pierwszym rzędzie wywieraniu nacisku na kraje OPEC w zakresie cen ropy naftowej.

Przedstawiciele krajów OPEC podkreślali także niejednokrotnie, że problemy energetyczne, które zgodnie z ideologią „nowego ładu ekonomicznego" stanowią integralną część dialogu Północ — Południe, nie mogą być po zakończeniu konferencji ponownie „wyizolowane". Z dyskusji charakteryzującej się wieloma nieporozumieniami, można wysnuć wniosek, że pełna suwerenność, którą zdobyły kraje OPEC w stosunku do ich najważniejszego źródła dochodów jest zbyt świeżej daty, aby przezwyciężone mogły zostać zahamowania psychologiczne, przeszkadzające w intensyfikacji dialogu i pogłębieniu współpracy międzynarodowej w dziedzinie energii.

Cel jest jednak wyznaczony. Aspekty energetyczne odgrywają w całokształcie obecnej problematyki gospodarczej — równowaga bilansów płatniczych, inflacja, wzrost gospodarczy, ochrona środowiska — zbyt ważną rolę, aby można je było wyłączyć z negocjacji międzynarodowych. W gruncie rzeczy chodzi głównie o to, czy przyszły dialog prowadzony ma być bilateralnie — co byłoby z pewnością łatwiejsze dla wielkich mocarstw — czy też powinien on zostać rozproszony na organizacje międzynarodowe w ramach i poza ONZ, czy też wreszcie powinien on być kontynuowany w sposób skoordynowany, w ramach specjalnie utworzonego w tym celu nowego gremium. Zbadanie tej sprawy jest przede wszystkim zadaniem ONZ.

Należy uświadomić sobie, że rozwiązanie światowych problemów energetycznych nie może nastąpić na konferencjach międzynarodowych. Jeśli prawdziwa jest stosunkowo pesymistyczna ocena prac konferencji, to nie można mieć żadnych wątpliwości co do kontynuowania dialogu. Oczywiste jest, że producenci i konsumenci ropy dzielą odpowiedzialność za podjęcie w odpowiednim czasie kroków, zmierzających do przejścia na wykorzystanie nowych źródeł energii; jeśli chodzi o te kroki, główna odpowiedzialność spoczywa na krajach wysoko uprzemysłowionych, w których zużycie ropy na głowę mieszkańca jest wysokie i ciągle rośnie. Kroki te będą skuteczne jedynie wtedy, kiedy dostosowane będą do perspektyw rozwoju gospodarki energetycznej.

Z KORZYŚCIĄ DLA POKOJU

Nowojorski korespondent TASS — **Gennadij Szyszkin** pisze, że w kołach gospodarczych Stanów Zjednoczonych coraz częściej mówi się o potrzebie wyeliminowania sztucznie wzniesionych barier na drodze rozwoju handlu radziecko-amerykańskiego i wzajemnie korzystnej współpracy gospodarczej. Konferencja w kalifornijskim mieście San Jose, która obradowała pod koniec sierpnia br., dowiodła, że w Stanach Zjednoczonych dokonują się pewne zmiany w podejściu do zagadnień handlu z ZSRR i innymi krajami socjalistycznymi. Do tej zmiany skłania przedstawicieli kół gospodarczych USA zarówno popularna w społeczeństwie idea rozwoju handlu jako środka umocnienia zasad pokoju oraz dobrego sąsiedztwa, jak względy czysto praktyczne podyktowane koniecznością poszukiwania nowych rynków.

Kierownicze koła GATT — pisze dalej korespondent TASS — niedawno opublikowały sprawozdanie, w którym ostrzegają przed wprowadzeniem nowych i utrzymywaniem starych ograniczeń. Sprawozdanie stwierdza wręcz, że ograniczenia te hamują własny rozwój gospodarczy stosujących je krajów, zagrażają handlowi światowemu i powodują pogłębienie i tak już znacznej ostatnio recesji przemysłowej.

W świetle takich wypowiedzi nawet dla dyletantów staje się oczywiste, że enuncjacje przeciwników handlu radziecko-amerykańskiego o tym, iż ZSRR jest bardziej w nim zainteresowany niż USA, iż czerpie on z niego jednostronne korzyści, a więc powinien zapłacić za ten handel ustępstwami politycznymi i innymi, są oczywistą bzdurą. Prasa burżuazyjna, która do niedawna z taką gotowością prześcigała się w antyradzieckich insynuacjach, za każdym razem, kiedy była mowa o problemach handlu z krajami socjalistycznymi, stopniowo zaczyna zastanawiać się, czy przypadkiem USA nie działają na własną szkodę ustępując w tej dziedzinie jedną pozycję po drugiej swoim konkurentom. Rządy zachodnie — stwierdza „Christian Science Monitor" — dochodzą do wniosku, że zamówienia na sprzęt i maszyny z krajów socjalistycznych dopomagają im w zwalczaniu recesji w ich własnych krajach.

Niemałą rolę w przekonaniu sceptyków i we wzbudzeniu zainteresowania handlem radziecko-amerykańskim odegrały również konkretne obliczenia przeprowadzone w radziecko-amerykańskiej Radzie Handlowo-Gospodarczej. Wskazują one dobitnie, że w rezultacie dyskryminacyjnych ograniczeń wprowadzonych przez Kongres, Stany Zjednoczone utraciły zamówienia radzieckie na sumę 2 mld dolarów. Amerykanie — konstatował w związku z tym organ kół przemysłowo-handlowych „Bussines Week" — lękają się, że coraz więcej zamówień przejdzie do Europejczyków i Japończyków dających tanie kredyty, zanim Waszyngton zrobi cokolwiek w kierunku złagodzenia ograniczeń.

Obok konkretnych, gospodarczych korzyści płynących ze wzrostu handlu radziecko-amerykańskiego społeczeństwo USA jest coraz bardziej zainteresowane innym aspektem tego zagadnienia: potencjalnym wpływem rozwoju współpracy gospodarczej na utrwalenie pokoju. Jak słusznie podkreśla waszyngtoński korespondent „Los Angeles Times", sprawy międzynarodowe w wieku atomowym są w dosłownym sensie sprawami życia i śmierci narodów. Pewne ochłodzenie stosunków radziecko-amerykańskich w początkowym okresie działalności nowej administracji USA przeciąganie się realizacji porozumienia władywostockiego w sprawie nowego etapu ograniczenia strategicznych zbrojeń ofensywnych, a także wzmaganie przez koła militarystyczne USA wyścigu zbrojeń budzą wciąż większe zaniepokojenie wśród najszerszych kręgów społeczeństwa amerykańskiego. Nie jest więc przypadkiem, że na konferencji w San Jose, a nawet w oświadczeniach poszczególnych przedstawicieli administracji nie brak stwierdzeń o wielkim znaczeniu handlu, jako środka umocnienia pokoju.

Czołowi specjaliści z tej dziedziny są zdania, że spór między przeciwnikami a zwolennikami rozwoju handlu radziecko-amerykańskiego — pisze korespondent TASS — został już rozstrzygnięty na korzyść tych ostatnich. Podsumowując jak gdyby tę dyskusję, profesor Uniwersytetu Harvardzkiego, D. Ergine stwierdził na łamach „New York Times", że handel tworzy wspólne zainteresowania dwóch wielkich mocarstw, zapewnia bodźce stabilności i zakłada podwaliny pod ostrożne rozszerzanie sfery współdziałania. Handel, zdaniem profesora, poprawia sytuację gospodarczą w kraju. Jeśli zaś nie liczyć kontroli zbrojeń, to stanowi on główny aspekt stosunków między dwoma wielkimi mocarstwami i pomaga w rozwijaniu dialogu między nimi. Sprzyja też zmniejszeniu wzajemnej podejrzliwości, co jest z korzyścią zarówno dla sprawy zapewnienia kontroli nad zbrojeniami, jak dla łagodzenia kryzysów międzynarodowych.

W tutejszych kołach przemysłowo-handlowych — kończy korespondent TASS — wyraża się opinię, że w Stanach Zjednoczonych aktywizują się obecnie wpływowe siły popierające rozwój handlu radziecko-amerykańskiego. Nie pomniejszając znaczenia dobrze znanych przeciwstawnych im sił, koła te wyrażają jednak przekonanie, że przyszłość należy do rozwoju handlu ze Związkiem Radzieckim i innymi krajami socjalistycznymi, a przy gotowości do czynnego zabiegania o to, handel ten będzie się rozwijał z korzyścią dla narodów obu krajów i dla sprawy umocnienia pokoju.

PUSTYNIE ATAKUJĄ

Problem, jak powstrzymać napór pustyń na ziemie uprawne, lub potencjalnie uprawne, omawiany na specjalnej konferencji ONZ, która 29 sierpnia br. odbyła się w stolicy Kenii — Nairobi, nabiera ostatnio coraz większego znaczenia. I nic dziwnego, jest on bowiem ściśle związany z zapewnieniem egzystencji setek milionów ludzi zamieszkujących rejony ziemi nawiedzane przez posuchy. Straszliwa susza w Sacheli (strefa półpustynna na południe od Sahary) pociągnęła za sobą śmierć około 200 tysięcy ludzi... Strat w urodzajach i bydle domowym nie da się nawet oszacować.

Eksperci uważają, **że do badania problemu naporu pustyń w skali światowej należało przystąpić znacznie wcześniej.** Proces ten, przyspieszany działalnością człowieka, doprowadził już do tego iż w całym świecie pustynie pochłonęły około 40 procent ziemi potencjalnie zdatnej pod uprawę. Zjawisko to jest charakterystyczne nie tylko dla kontynentu afrykańskiego, chociaż tam nosi ono najbardziej jaskrawy charakter. Zapomina się często — celowo lub nie — **że brak deszczów nie jest jedyną przyczyną posuchy i dalszego naporu pustyń, że ponosi tutaj winę także człowiek.**

Według dzisiejszych ocen ekspertów, 9 spośród 30 milionów kilometrów kwadratowych kultywowanej ziemi na całym świecie, to jest na przestrzeni zamieszkałej przez około 630 milionów ludzi, zabrały już pustynie. Nawet te oceny wyraźnie zaniżone, jak utrzymuje wielu specjalistów, skłaniają do przypuszczeń, iż do 2000 roku powierzchnia ornej ziemi na głowę jednego człowieka w skali całego świata zmniejszy się dwukrotnie. Wskazuje się oczywiście na szybki wzrost zaludnienia ziemi, ale również na fakt nie mniej ważny, mianowicie, że ziemie uprawne coraz szybciej przekształca się w pustynie w konsekwencji rozbudowy rejonów mieszkalnych i przemysłowych.

Taka sytuacja istnieje w wielu rejonach Afryki. W Sudanie na przykład, w ciągu ostatnich 20 lat, pustynne krzaki, na południe od Chartumu, stolicy kraju, zagarnęły co najmniej 90 kilometrów kwadratowych ziemi uprawnej. W sudańskiej prowincji Kordofan, podobnie zresztą jak i w innych rejonach, zbudowanie 700 nowych studni spowodowało wokół nich nadmierną koncentrację koczowników z ich stadami bydła, co z kolei stało się przyczyną niebezpiecznej eksploatacji pastwisk i naruszenia ekologicznej równowagi. Ostatecznie więc winę składa się na człowieka, bowiem i dawniej były lata suszy, ale nigdy nie doprowadzały one do tak tragicznych skutków, jak podczas niedawnych klęsk posuchy. Zdaniem uczonych, a coraz częściej również polityków, należy opracować globalną koncepcję ochrony otaczającego nas środowiska.

(C)

Sytuacja w Rodezji nadal przyciąga uwagę opinii publicznej świata. Nowa, gruntownie odmieniona sytuacja polityczna na południu kontynentu afrykańskiego sprzyja aktywizacji zbrojnego wystąpienia narodu Zimbabwe przeciwko rasistowskiemu reżimowi Yana Smitha. Partyzanci Zimbabwe przeprowadzają coraz szersze operacje bojowe i cieszą się poparciem tzw. krajów przyfrontowych: Botswany, Angoli, Zambii, Mozambiku i Tanzanii.

RODEZJA

ZMIERZCH REŻIMU SMITHA

Zdając sobie sprawę, iż rozpaczliwe próby rządu rodezyjskiego niedopuszczenia Afrykanów Zimbabwe do władzy nie mają perspektyw, **Wielka Brytania, pod pretekstem, że jako byłe mocarstwo kolonialne jest prawnie odpowiedzialna za sytuację w Rodezji, w porozumieniu z USA,** przedłożyła kolejny plan „uregulowania problemu rodezyjskiego". Wszelako wiadomo, że Anglii i USA zależy na takim rozwiązaniu tego problemu, żeby móc zachować w Rodezji pozycje międzynarodowych monopoli.

Rodezja jest krajem niewielkim, liczy zaledwie 390 tysięcy kilometrów kwadratowych. **Podstawą jej ekonomiki są bogactwa naturalne: rudy chromu, złoto, miedź, wolfram, nikiel, azbest, węgiel. Przemysł górniczy** zapewnia podstawową część wpływów walutowych. Obok tego Rodezja jest także krajem rozwiniętego rolnictwa. Podział tych bogactw jest nierówny; lwią jego część zagarnęli biali osadnicy. Białych w Rodezji jest zaledwie 275 tysięcy i ich władzą opiera się na współczesnej i efektywnej armii oraz na konstytucji, którą stworzyli mając na widoku własne korzyści. U jej podstaw leży rasowa dyskryminacja. Zgodnie z ustawą o proporcjonalnym podziale ziemi, kraj podzielono na 2 strefy: „europejską" zajmującą 50 proc. powierzchni ziemi włącznie z rejonami miejskimi i lepszą ziemią, i „afrykańską" którą zamieszkują Afrykanie Zimbabwe. Ustawa przyznaje prawo wyborcze wszystkim białym, natomiast warunki jakie muszą spełnić Afrykanie (np. znajomość języka angielskiego, minimalny poziom wykształcenia, dochód podlegający opodatkowaniu itp.) powodują, iż 99 proc. Afrykanów tego prawa w istocie nie ma. Z 66 miejsc w parlamencie, 50 zarezerwowano dla białych. Nauka w szkole jest obowiązkowa i bezpłatna, lecz tylko dla Europejczyków.

Po jednostronnym ogłoszeniu niepodległości Rodezji w listopadzie 1965 roku, biali osiedleńcy byli nadal zdecydowani zachować swoje przywileje, przeciwstawiając się 6 milionom Afrykanów Zimbabwe. Po załamaniu się władzy portugalskiej w 1974 roku w Angoli i Mozambiku nastąpiło gwałtowne zachwianie równowagi sił w Południowej Afryce. Biali osadnicy gospodarują jeszcze tylko w RPA oraz w jej protektoratach: Namibii i Rodezji. Reżim w Salisbury jest dziś anachronizmem, przeżytkiem bezpowrotnej przeszłości.

Jednakże za reżimami w Rodezji i RPA stoją wielkie mocarstwa zachodnie i długi czas łączyły je nawet bliskie stosunki z rasistowskimi reżimami w Salisbury i Pretorii. Rozpad imperium portugalskiego postawił na porządku dziennym konieczność dokonania gruntownej rewizji tej polityki. Dziś USA i Anglia usiłują zapobiec wojnie domowej w Rodezji, która doprowadziłaby do całkowitej zmiany sił. Dlatego też oba te mocarstwa wypracowały nowy plan „uregulowania problemu rodezyjskiego", który już w swym założeniu nie dopuszcza do władzy w Zimbabwe przedstawicieli ruchów narodowowyzwoleńczych. Najogólniej rzecz ujmując, plan anglo-amerykański przewiduje ustąpienie rządu białej mniejszości i przekazanie władzy przedstawicielom rdzennej ludności Zimbabwe. W okresie przejściowym władzę w kraju sprawowałaby administracja brytyjska przy ewentualnym udziale obserwatorów z ramienia ONZ oraz sił wojskowych ONZ.

Przywódcy Patriotycznego Frontu Zimbabwe, i popierającego rządy krajów „przyfrontowych", zdecydowanie odrzucają próby narzucenia Afrykanom w Rodezji rozwiązań neokolonialnych i żądają bezzwłocznego przekazania władzy prawowitemu rządowi afrykańskiej większości. Zwracają oni uwagę, iż wiele pozycji anglo-amerykańskiego planu nie uzgodniono z nimi, a cały plan nie gwarantuje istotnego rozwiązania problemu Zimbabwe. W oświadczeniu Patriotycznego Frontu Zimbabwe, opublikowanym w Lusace, mówi się iż większość pozycji wspomnianego planu jest nie do przyjęcia. Patriotyczny Front odrzuca „szerokie pełnomocnictwa", których udziela się brytyjskiemu komisarzowi, a także propozycje o zachowaniu pewnych elementów rodezyjskich sił porządkowych, które miałyby strzec ładu w czasie przekazywania władzy afrykańskiej większości. Front odrzuca również okresową obecność sił ONZ mających strzec pokoju. „Mamy jeszcze świeżo w pamięci — czytamy w oświadczeniu Patriotycznego Frontu — katastrofalne zamieszanie, jakie wywołało wprowadzenie tzw. sił zbrojnych ONZ do Konga i na Cyprr"

Światowe środki przekazu potwierdzają informację o zdecydowanie negatywnym stanowisku przytłaczającej większości patriotów Zimbabwe wobec anglo-amerykańskiego planu „wewnętrznego" rozwiązania problemu rodezyjskiego. W końcu sierpnia tego roku przywódcy Patriotycznego Frontu Zimbabwe, Joshua Nkomo i Robert Mugabe, omawiali, w ogólnym zarysie, z angielskim ministrem spraw zagranicznych Owenem i stałym przedstawicielem USA przy ONZ — Youngiem, anglo-amerykańskie propozycje. Podczas tych rozmów, jak informowała agencja France Presse, Patriotyczny Front Zimbabwe dał wyraźnie do zrozumienia, iż jedyne z czym się zgadza w tym planie, to przyznanie niepodległości krajowi, i że jego partyzanci będą armią niepodległego Zimbabwe. Podczas spotkania Nkomo powiedział Anglikom, że „ich propozycje nie zachęcają narodu Zimbabwe do zaprzestania prowadzenia wojny do końca i że będzie ona prowadzona dopóty, dopóki Afrykanie Zimbabwe nie zdobędą niepodległości. Zaprzestanie wojny na tym etapie — powiedział Nkomo — bez osiągnięcia podstawowego celu: ustanowienia władzy afrykańskiej większości, byłoby zdradą wobec tych mężnych chłopców i dziewcząt, którzy oddali życie w walce przeciwko najemnikom".

Prezydent Tanzanii, Julius Nyerere — przedstawiciel grupy państw „przyfrontowych" — powiedział na konferencji prasowej w Lusace: „Smith powinien odejść, a jego armia powinna być rozwiązana". Oświadczenie to uogólnia z grubsza stanowisko pozostałych państw „przyfrontowych" wobec kwestii niepodległości Zimbabwe.

I na koniec kilka słów o zamierzeniach Smitha. Próbując ominąć zarówno problem walczącego narodu Zimbabwe, jak i propozycje anglo-amerykańskie rodezyjski premier pokłada wielkie nadzieje w murzyńskim pastorze Ndabaningu Sithole, obecnym liderze rozbijackiej Afrykańskiej Rady Narodowej z siedzibą w Rodezji. Zdaniem rodezyjskich polityków, Sithole, człowiek nie ukrywający swej żądzy władzy i wysokiego mniemania o sobie, jest jednym z tych ludzi, którzy odgrywają dużą rolę w planie „wewnętrznego" uregulowania kwestii rodezyjskiej, opracowanym przez Smitha. W planie tym nie ma miejsca dla Patriotycznego Frontu Zimbabwe. Sithole oświadczył już, że ma nadzieję, iż zostanie głową państwa po ogłoszeniu niepodległości Zimbabwe. Nie ma on jednak wyraźnego poparcia narodu Zimbabwe. Smith trzyma się kurczowo władzy i próbuje za wszelką cenę powstrzymać nieodwracalny proces zmian, ale Rodezja Iana Smitha należy już do przeszłości.

JERZY CZECH

FESTIWALE U SĄSIADÓW

Już przez 20 lat Festiwal Berliński — prezentacja teatru, muzyki, a także innych dziedzin kultury — towarzyszy obchodom rocznicy powstania Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Tegoroczny XXI Berliner Festtage trwać będzie od 30 września do 16 października. Festiwal jest imprezą międzynarodową i jak w poprzednich latach wezmą w nim udział artyści polscy. W tym roku gospodarze jako wydarzenia zapowiadają występy Teatru Starego z Krakowa, który zaprezentuje „Noc Listopadową" Wyspiańskiego i „Biesy" Dostojewskiego wg Camusa. Reżyserem obydwu spektakli jest Andrzej Wajda.

Z zagranicznych zespołów wystąpią Teatr Narodowy z Pragi, „Teatr 25" z Budapesztu, balet Teatru Opery z Tallinna, Teatr Dziecięcy z Ulan Bator, teatry lalkowe z Sycylii, Teatr Andre Tahon z Francji, Teatr Lautaro z Włoch i Teatr Bułgarskiej Armii Ludowej.

12 zespołów berlińskich wystąpi z premierami, wśród których znajdzie się „Łaźnia" Majakowskiego, dwie sztuki Suchowo-Kobylina, sztuki Gorkiego i Szwarca. Jak corocznie w Berlinie wystąpią również teatry z wszystkich większych miast NRD. Akordem końcowym festiwalu będą występy Opery Królewskiej ze Sztokholmu, która zaprezentuje „Bal maskowy" Verdiego, „Carmen" Bizeta i kameralny spektakl operowy „Panna Julia" wg Strindberga.

Festiwal zainauguruje berlińska Staatskapelle pod batutą radzieckiego dyrygenta Arvida Jansonsa, również z radzieckim solistą, którym będzie znany skrzypek Wiktor Tretiakow. Orkiestrę Opery Komicznej poprowadzi Andrzej Markowski, a solistą tego koncertu (w programie utwory Lutosławskiego, Góreckiego i Manzoniego) będzie laureat Konkursu Chopinowskiego artysta włoski Maurizio Pollini. Wśród solistów „Pasji wg św. Jana" J.S. Bacha znajdzie się sopranistka Magdalena Falewicz.

* * *

W dniach 30 września — 9 października odbędzie się pod hasłem „Muzyka — Sztuka — Rewolucja" XII Międzynarodowy Festiwal Muzyczny w Brnie, poświęcony w tym roku w znacznej części obchodom 60 rocznicy Rewolucji Październikowej. Z tej okazji zapowiedzieli udział w imprezie wybitni wykonawcy z Kraju Rad, ponadto dzieła radzieckich twórców prezentować będą zespoły i soliści również z innych krajów.

Utwory Szostakowicza zaprezentuje Orkiestra Kameralna Filharmonii Moskiewskiej, a także Filharmonia Brneńska i Słowacka, i Kwartet Praski. Natomiast opera z Brna przedstawi utwór Sergiusza Prokofiewa „Siemion Kotko". W programie festiwalowych koncertów znajdą się również utwory Ludwika van Beethovena i Fryderyka Chopina.

JUBILEUSZ PILARZA

Jednym z najwybitniejszych tłumaczy z języka polskiego na czeski jest poeta Jan Pilarz, który niedawno obchodził 60 rocznicę urodzin. Jego przekłady odznaczają się szczególną dbałością o zachowanie wierności oryginałowi, są precyzyjne pod względem językowym, trafne w sferze wyobrażeniowej — doskonałe, w szerokim pojęciu tego słowa. Jan Pilarz uczynił wiele dla wzajemnego poznania obu naszych narodów i ich kultur.

W jego dorobku znajdują się przekłady wierszy poetów polskich od Jana Kochanowskiego i Cypriana Norwida — do Leśmiana, Straffa, Gałczyńskiego, Tuwima, Broniewskiego, Iwaszkiewicza, Grochowiaka, Harasymowicza i poetów najmłodszych. Swego czasu wydarzeniem literackim stał się jego przekład „Fortepianu Szopena" Norwida. Pierwszą swoją książkę przekładów poezji polskiej wydał już w roku 1947 pt. „Pochodnie" — antologie utworów 10 współczesnych poetów polskich, poczynając od Krzysztofa Kamila Baczyńskiego.

Pilarz, sam świetny poeta, doczekał się również uznania w oczach naszych tłumaczy i wydawców. W 1962 roku Adam Włodek opublikował w Wydawnictwie „Śląsk" wybór jego utworów nadając im tytuł „Takiego drzewa się nie grzebie". W roku 1975 ukazał się w PIW, opracowany przez Mariana Grzeszczaka, tom „Szyderstwo i inne wiersze".

Z Polakami i polską kulturą spotkał się Pilarz dawno i w niezwykle tragicznych okolicznościach. Aresztowany w 1939 r. wraz z innymi studentami Uniwersytetu Karola w Pradze, został wywieziony do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen, gdzie więziono również polskich naukowców.

Obecnie, jak informuje tygodnik „Kwiety", zasłużony Jubilat przygotowuje antologię „Spotkania nad Wisłą", która zawierać będzie utwory 50 polskich poetów ostatniego półwiecza.

WSPÓLNIE W KIERUNKU ODPRĘŻENIA W POSZUKIWANIU NOWEGO ŁADU

Jak można było oczekiwać, **wizyta Edwarda Gierka we Francji wzbudziła na całym kontynencie zrozumiałe zainteresowanie.** I chociaż odnosiła się przede wszystkim do stosunków dwustronnych — to przecież ich wpływ na sytuację ogólnoeuropejską jest niewątpliwy. Szczególnie to ważne na kilkanaście dni przed spotkaniem belgradzkim (początek 4 października), po którym oczekujemy, że wprowadzi odprężenie w nowy, wyższy etap.

Edward Gierek i Valery Giscard d'Estaing — czytamy w Deklaracji polsko-francuskiej — „podkreślili pozytywną rolę, jaką stosunki między Polską a Francją odegrały i jaką mają do odegrania w przyszłości dla rozwoju sytuacji w Europie. Potwierdzili zdecydowanie swoich krajów przyczyniania się, tak poprzez ich działanie lub inicjatywy własne, jak również przez wspólne wysiłki, do dalszego postępu odprężenia w Europie".

Dokonawszy bilansu postępów, jakie osiągnięte zostały w realizacji zasad, przyjętych przez helsińską konferencję, **obie strony wyraziły nadzieję, że spotkanie w Belgradzie „wypełni zadania postawione przed nim przez Akt Końcowy" i przyczyni się do dynamicznej realizacji jego postanowień.** Odprężenie jest bowiem procesem ciągłym i powinno mieć trwały charakter, co wymaga spotęgowania wysiłków wszystkich państw.

W międzynarodowej części Deklaracji wiele miejsca zajmują ponadto: sytuacja na Bliskim Wschodzie, w Afryce oraz problem rozbrojenia.

Jednym z głównych niebezpieczeństw, zagrażających ludzkości jest broń nuklearna. Aby uniknąć jej proliferacji trzeba pohamować mnożenie jej rodzajów i przeciwdziałać upowszechnianiu. Zapowiedziana już i poparta przez Polskę i Francję specjalna sesja Zgromadzenia Ogólnego ONZ na temat rozbrojenia może stać się impulsem do prac, mających na celu „uwolnienie świata od ciężaru wyścigu zbrojeń". Ważną rolę spełnić może światowa konferencja rozbrojeniowa. Polska i Francja wyraziły życzenie, aby warunki do jej zwołania „mogły być spełnione w bliskiej przyszłości".

W Deklaracji podkreśla się ponadto konieczność: wzmocnienia autorytetu i skuteczności działania ONZ w celu pogłębienia odprężenia i utrwalenia pokoju oraz dokonania takich zmian w międzynarodowych stosunkach gospodarczych, które doprowadziłyby do nowego porządku ekonomicznego, „respektującego równość i interesy wszystkich krajów".

Prasa światowa wizycie Edwarda Gierka w Paryżu poświęca wiele uwagi, podkreślając dalszy rozwój współpracy polsko-francuskiej, a przede wszystkim wspólne działanie obu krajów na rzecz odprężenia. Seria porozumień ekonomicznych — zauważają komentatorzy — świadczy o w pełni partnerskich stosunkach między obu krajami, osiągnięta natomiast zbieżność w podejściu do odprężenia — o priorytecie tego zagadnienia w polityce zagranicznej rozmawiających stron. **Dialog polsko-francuski ponownie potwierdził możliwość współpracy państw o odmiennych ustrojach na wielu płaszczyznach i wykazał raz jeszcze realizm polityki pokojowego współistnienia.**

* * *

Przejdźmy teraz do drugiego tematu dzisiejszego przeglądu międzynarodowych aktualiów.

Zanim zbierze się XXXII sesja Zgromadzenia Ogólnego NZ — **w Nowym Jorku 13 bm. rozpoczęła się „końcówka" poprzedniej sesji** z tematem: rozwój i międzynarodowa współpraca gospodarcza — realizacja postanowień VII sesji specjalnej. Punktu tego nie rozpatrzono we właściwym czasie, gdyż o pół roku odroczona została konferencja paryska 19 krajów rozwijających się i 8 krajów kapitalistycznych — jedna z tzw. dialogu Północ — Południe. Ostatnia runda tej konferencji zakończyła się dopiero w czerwcu, nie przyjmując zresztą żadnych konkretnych ustaleń. Komunikat końcowy zalecił natomiast: „intensywne rozważanie nie załatwionych problemów powinno być kontynuowane w obrębie systemu Narodów Zjednoczonych". Tak więc **zgodnie z przekonaniem krajów socjalistycznych, że to właśnie w ONZ jest miejsce na dyskusje o nowym ładzie ekonomicznym — sprawa powróciła na forum sesji.**

W ciągu zaledwie czterech dni nie można oczywiście przedyskutować wielkiego problemu, dlatego cały wachlarz spraw, po wstępnym omówieniu, przekazany zostanie kolejnym sesjom Zgromadzenia Ogólnego. W przyszłości natomiast przewiduje się znów zwołanie sesji specjalnej, której zadaniem będzie podsumowanie kilkuletniej debaty.

Jeśli chodzi o sesję tegoroczną — to z długiego jak zwykle porządku dziennego bez trudu można wyłuskać dwa główne tematy: rozbrojenie i właśnie nowy ład ekonomiczny.

Do tych zagadnień jednakże powrócimy, a teraz odnotujmy — już na zakończenie — **pożyteczne rozmowy Kurta Waldheima w Moskwie** i jego przekonanie, wyrażone w wywiadzie, że mimo ochłodzenia stosunków amerykańsko-radzieckich jest obecnie bardziej optymistycznie nastawiony co do ich perspektywy niż przed paru tygodniami.

Głównymi tematami rozmów sekrearza generalnego ONZ w Moskwie były: rozbrojenie i Bliski Wschód.

W. SŁAWSKI

JERZY WAWRZAK

WEJŚCIE PRZEZ SEKRETARIAT

Patrzyłem na nich przez szybę autobusu. Stali kilka metrów dalej przy krawężniku, z rękami w kieszeniach, z niewyraźnymi minami. Cała trójka z pokoju numer osiem: Tadek, Michał i Władziu. Pewnie myślami byli przy swoich, gdzieś tu niby blisko po wioskach i osadach. Nie wyjechali tej soboty, jutrzejsza niedziela miała być dniem roboczym niezwykłym o tyle, że mieli oddać budowę na 1 Maja, przyrzekli, zobowiązali się i teraz ciągnęli robotę non-stop. Kiedy się szykowałem do wyjazdu, popatrywali na mnie z zawiścią, Michał cicho przeklinał Wrzosa oraz swoich kolegów, którzy dali się tak łatwo przekonać wygadanemu sekretarzowi. Małka też chyba niezbyt zachwyconego tą perspektywą zdenerwowały narzekania kolegi z brygady, bo w końcu rozwrzeszczał się na cały pokój: „To bierz dupę w garść i wal na swoją wiochę. Wielki mi fachowiec! Damy sobie radę bez niego, prawda, Władziu?". Ten tylko wzruszył ramionami, a Michał, wbrew moim oczekiwaniom na awanturę, zmilczał te obraźliwe słowa. Nie wtrącałem się, bo to nie moja sprawa. Nawet gdyby się zaczęli prać po gębach, nie kiwnąłbym palcem. Prędzej czy później obróciłoby się to przeciwko mnie. Oni, jak zawsze, ostatecznie dogadaliby się, a ja wyszedłbym na niepoważnego faceta, który zamiast pilnować swego nosa, rości sobie pretensje do sądzenia innych.

Byłem już prawie gotowy do wyjścia. Też zaczęli się zbierać. „Odprowadzimy cię, Julian, na dworzec, powiedział Władziu, no, piwa się napijemy", dodał dla uniknięcia niejasności, bo inaczej wyszłoby na to, że chcą w ten sposób coś niepoważnego zademonstrować. Na przystanek, czy dworzec odprowadza się zgrzybiałych staruszków albo matki objuczone dziećmi i tobołami.

Teraz stali rzędem obok siebie, niedawni antagoniści, przedzieleni flegmatycznym Władziem, inicjatorem tej całej komedii. Tkwili tam w milczeniu, Tadek Małek tylko mrugnął do mnie porozumiewawczo, zachichotał nie wiadomo z czego, aż autobus zatoczył łuk na przydworcowym placyku i zniknął w wylotowej ulicy do Łodzi. Brakowało tylko, żeby mi pomachali rękami, jak to się widzi na filmach.

Obawy, jakie się we mnie tliły, ustąpiły zaraz pierwszego dnia. Po dwóch tygodniach byliśmy już w dobrej komitywie. Nadal szukałem jakiegoś samodzielnego mieszkania, ale zupełnie bez związku z nimi. Tacy jak oni byli mi bardzo potrzebni.

Tak, upłynęły już dwa tygodnie. Eliza nie mogła przyjechać do Kamieńca w pierwszą sobotę, bo nie miałem jej gdzie przenocować. Ja także zawziąłem się w sobie, i mimo, że telefonowałem po trzech dniach, to po to, aby jej oznajmić o swoich dzisiejszych odwiedzinach. Tłumaczyłem się także, co brzmiało zupełnie przekonywająco, że chcę się trochę rozejrzeć, tego i owego popróbować, żeby jej zdać wyczerpującą relację o moich perspektywach w samym zakładzie. Czy to jest właśnie to miejsce, gdzie warto osiąść na dłużej, na tak długo, by w tym miasteczku spróbować założyć rodzinę.

Moje argumenty brzmiały logicznie i Eliza zgodziła się bez trudności z takim rozumowaniem. Musiała się zgodzić, bo mój pobyt w Kamieńcu był przecież faktem i musiała dostosować nawet swoje protesty do tego faktu.

Te dwa tygodnie. Czy dały mi odpowiedź? Śmieszne pytanie. Postawiły tylko dziesiątki dalszych pytań, takich nawet, które mi nigdy wcześniej nie przychodziły do głowy. W każdym razie odpowiedź na pytanie czy tutaj w Kamieńcu jest moje miejsce — a pośrednio nasze miejsce — oddalała się na czas nieokreślony. Znacznie, znacznie później zrozumiałem, że takiej odpowiedzi nie ma, że nie jest ona zawarta w wymiarze czasu, jaki przeżywamy wśród ludzi i spraw; i zawarta jest nie w wyrazie, żadnym oświadczeniu mówionym czy pisanym, lecz zapisana w pragnieniu powrotu, w myślach dobrych lub złych, w snach jasnych lub ciemnych, w drgnieniu duszy i ciszy lub oszołomieniu serca. I wymaga to długich miesięcy i krótkich lat. Czasu w takiej skali, a nie dwóch głupich pytań.

Hotel robotniczy, mimo serdecznego przyjęcia, był miejscem do mieszkania dłuższej nawet egzystencji, ale nie był miejscem do życia. W tym okresie jednak nie miało to dla mnie większego znaczenia. Nawet było mi to na rękę, bo przyjęty z góry, wykalkulowany rytm pracy łatwiej mi było realizować.

Wychodziłem po szóstej trzydzieści, nie spiesząc się przed siódmą docierałem do swego biura. Po trzeciej zjeżdżałem na obiad w stołówce i znów niespiesznie wracałem na poprzednie miejsce, by siedzieć tam nad dokumentami niemal do wieczora. Po kolacji zaglądałem do świetlicy na telewizję. Jeśli był nudny program, graliśmy w tysiąca, drugiego wieczoru przyniosłem butelkę, jedną jedyną. Kładliśmy się z kurami, o dziesiątej żeby wstać rano bez łamania w kościach i obłędu zmęczenia w oczach.

Wiedziałem, że taki rozkład dnia nie będzie długo obowiązywał, ale taki początek uważałem za najszczęśliwszy. Z wielu względów byłem pod obserwacją wszystkich, od portierów, którzy dawali mi po południu klucze do biura, do dyrektora Wrześniewskiego, któremu ktoś musiał donosić o moim zachowaniu, bo witał mnie, kiedy spotykaliśmy się przypadkowo w przejściu, przyjaznym pomrukiem. Podobno było to duże wyróżnienie.

Przyczyny mojego postępowania były całkiem prozaiczne. Ta robota nie była dla mnie czarną magią. Na technice się znałem.

Gorzej z ludźmi. Z ludźmi, z którymi się współpracuje, którymi się kieruje i którym się podlega. Ale jest to sztuka współżycia nie do opanowania, w żadnym określonym czasie, ani przy pomocy znanych sposobów. Można się jej w ogóle nie uczyć i budząc się któregoś dnia rano, można mieć jej wszystkie arkana w głowie i bezbłędnie się nimi posługiwać z najlepszym skutkiem. I można się tej sztuki uczyć przez całe życie, poznawać ludzi, otoczenie, przeczytać dziesiątki mądrych książek z psychologii i organizacji pracy i nie wyjść poza abecadło.

W tym punkcie, z nieznanych mi powodów, przestaje jakby obowiązywać zasada przyczyn i skutków. Zgromadzone atuty nie przynoszą oczekiwanych skutków. Chodzę po ziemi, ale tu moje wyszkolone, narzucone przez szkołę zasady i mądrości nie wytrzymują próby życia. To już piszę oczywiście, jako ten noszący czwarty krzyżyk, bogatszy o różnorodne praktyki i doświadczenia. Wobec tego fenomenu, ja tamten dwudziestoczteroletni, miałem tylko niejasne przeczucie, że czeka mnie trud takiej nauki nie gwarantujący niczego. Teraz wiem, że już wtedy była we mnie ta odrobina możliwości pozwalająca przerzucać kładki porozumienia między ludźmi, z którymi przyszło mi żyć i pracować.

W pierwszym rzędzie z moim zastępcą. Nazywał się Bolesław Michta i był człowiekiem, którego w żaden sposób nie mogłem rozszyfrować. Średniego wzrostu, dość korpulentny o czerwonej gładkiej twarzy nadciśnieniowca, był w istocie flegmatykiem, mimo stwarzanych rozmyślnie pozorów, nie denerwował się w żadnej sytuacji. Przeklinał, jeśli coś się zawaliło, ze staranną dokładnością. Na moje pytania odpowiadał równie starannie, spokojnie nawet, gdy pytanie powinno go wyprowadzić z równowagi. Jednakże odpowiedzi kończyły się tam, gdzie powinny, ani słowa więcej. Sam nigdy nie zagadał, jeśli to nie było konieczne. Czasami dostrzegałem w jego oczach wesołość, kiedy moje pytania wydawały mu się zbyt naiwne, albo oczywiste. Ta jego oschłość trochę mnie niepokoiła.

Nie dziwiło mnie, że jest taki w biurze, przy ludziach, ale przecież często wyjeżdżaliśmy sami „gazikiem" firmy na okoliczne budowy w Kamieńcu. Nieraz wchodziliśmy chłodnym rankiem na herbatę do biurów lub w południe na piwo. Wtedy Michta także milczał, ćmił papierosa i po prostu milczał bez skrępowania. Kiedyś również bez żadnego usprawiedliwienia odmówił wypicia ćwiartki. „Nie, nie mam ochoty" mruknął tylko, a mnie odechciało się w końcu ubiegać o jego względy. Nie byłem na tyle śmieszny, by uznać jego zachowanie za objawy wrogości, ale zmroził mnie i także starałem się mówić to, co jest niezbędne, tak że wyglądaliśmy jak para milczących przyczajonych przeciwników. Jednak nawet w tak krótkim czasie nie mogło nie dojść do bliższego samookreślenia każdego z nas. Względem siebie. Pomógł nam w tym dyrektor Wrześniewski, o którym Michta jak wszyscy mówił stary Wrzos.

To był chyba dziesiąty dzień mojej pracy. Dopijaliśmy herbatę po śniadaniu. Zadzwonił telefon dyrektorskiej dyspeczerki. Michta spojrzał na mnie, ale go przetrzymałem. Podniósł słuchawkę, przedstawił się. Chwilę słuchał z cierpiętniczym wyrazem twarzy i kiedy już nastąpił trzask w słuchawce, usłyszałem: tak jest, panie dyrektorze i zaraz podniósł się zza biurka, kiwając mi głową, bym uczynił to samo.

— Co się stało? — spytałem go po drodze.

— Stary nas wzywa — mruknął tylko — suwnica w betoniarni znów stanęła.

— A to pech, trzeci raz w tym tygodniu — zakląłem w myślach — ale co dyrektor ma do tego. Przecież podlegamy naczelnemu inżynierowi.

Spojrzał na mnie w pierwszym momencie, jakbym postradał zmysły i po raz pierwszy uśmiechnął się wylewnie, otwarcie, z jakąś życzliwością, braterstwem. Nic jednak nie powiedział, żeby mnie do końca nie speszyć. „Zobaczysz, braciszku", tylko na chwilę zabłysły jego oczy, ale zaraz nastroszył się, wszedł w starą skórę, sposępniał, jakby przewidując najgorsze.

I miał rację. Kobiety w sekretariacie przywitały nas spłoszonym wzrokiem. Michta bez ceregieli wszedł pierwszy, przesądzając kto z nas jest w tym momencie ważniejszy, mimo, że wezwani zostaliśmy obaj. Byłem mu za to wdzięczny, jak na razie.

Wrześniewski nie wyglądał mi już na dobrego staruszka, który pomylił to miejsce z ławką w parku, kamienną szachownicą dla emerytów. Łypnął tylko na nas okiem, nie odpowiedział na nasze dzień dobry, niedbałym gestem wskazał krzesła. Chwilę pomilczał, ale to było raczej gniewne sapanie.

— No, Michta — warknął wreszcie — co jest z tą suwnicą?

— Wczoraj sam sprawdzałem, była dobra... zamilkł na chwilę — nowy silnik by się przydał, zamówienie od trzech miesięcy zgłoszone do zaopatrzenia.

— Sameś dureń, to przynajmniej i ze mnie nie rób idioty! — krzyknął Wrzos. — Jakby tu było wszystko w porządku, to moglibyśmy łapy pod tyłek włożyć! I urzędować za biurkami, jak panienki w miejskiej radzie. W ogóle byśmy byli niepotrzebni! Więc mnie nie pouczaj, Michta, bo wiesz, co ja z takimi nauczycielami robię...

— Panie dyrektorze, przecież pismo napisałem...

— No, tak — zachrypiał — to mnie tylko pozostało do ciebie pismo napisać. Kadrowiec to zaraz zrobi.

Wtedy się wtrąciłem, nie mogłem się nie wtrącić.

— Pan Michta mówi prawdę, ja.

— Co ty, inżynierze — przerwał w pół słowa — ty siedź cicho i ciesz się, że ciebie do tablicy nie wzywają. Siedź i ucz się. Niech każdy swój kark nadstawia. Więc ty — Michta — zwrócił się do zastępcy — mówisz, że ta suwnica musi się psuć codziennie, że szmelc. A ja ci powiem, że ona tu dłużej od ciebie wytrzyma.

Słuchałem z czerwonymi uszami tej reprymendy, jakbym to ja został postawiony na baczność. Z ulgą już przyjmowałem zaradcze, rzeczowe ustalenia. Nie byłem tu w urzędowym sensie obecny, ale jakby dla mnie tę scenę zaaranżowano. Musiałem tak dosłownie cały ten incydent potraktować. Wrzos mnie rzeczywiście uczył i ostrzegał jakby — co mnie czeka, kiedy już Michta do jego pokoju nie będzie miał prawa wstępu. Tak musi być, za tydzień lub dwa. Za dział odpowiada jeden człowiek i tym człowiekiem ma być właśnie inżynier Wadas, czyli ja. Tego dnia już nie było okazji skomentowania tej rozmowy, Michta zaraz popędził na betoniarkę i siedział tam do wieczora. Kiedy przyszedłem, suwnica już od godziny pracowała. Spytałem, co i jak. Okazało się, że był zapasowy silnik w magazynie i któryś z elektryków sobie o tym przypomniał. Podłączenia jak na taki okres pracy dokonano błyskawicznie. Mistrz zmianowy zdradził mi jeszcze ze znaczącym uśmiechem, że Michta wziął elektryków na wódkę i pewnie teraz popijają w „Ratuszowej". To była jakby pointa i dalszy ciąg poglądowej lekcji starego Wrzosa.

Nazajutrz też nie było okazji do rozmowy w cztery oczy. Zdawkowo tylko pochwaliłem jego zabiegi na betoniarni, oczywiście, przemilczałem tę wódkę z elektrykami — ale ten gest Michty zakarbowałem sobie w pamięci. Czy gdzieś przeczytasz w podręczniku, że jak ludziom raz postawisz butelkę, staną na głowie, żeby ci pomóc w trudnej sytuacji. Nie dlatego, jak zrozumiałem później, że postawisz znowu, ale po prostu, że nie jesteś drań, nie zadzierasz nosa i znasz życie, jesteś po prostu swój chłop. Więc ja mu nic o tej wódce. Tak trzeba, powiedziałem. To znaczy udzieliłem mu czegoś w rodzaju rozgrzeszenia, pochwały, uznania. Zaniepokoiło go to widocznie, bo ta pochwała była jakby pierwszym krokiem przejmowania przeze mnie rządów.

W dwa dni po wizycie u starego wypadło nam skoczyć do Białej na budowę, pożal się Boże, agronomówki. Nie miałem specjalnego powodu żeby tam pojechać, ale chciałem wreszcie z Michtą pogadać szczerze. I znów do tej rozmowy nie doszło. Ta decydująca rozmowa odbyła się chyba w dwa miesiące później i wszystkie moje dobre chęci nie miały żadnego znaczenia, by do niej wcześniej doprowadzić. Sytuacja musiała do niej dojrzeć, moja wiedza także. A tego dnia wypadki znów podsunęły mi do rozwiązania kolejną zagadkę. Na budowie w Białej interesował nas gąsienicowy spychacz. Jak większość sprzętu był to stary trup, dogorywał. Operator zgłaszał tydzień wcześniej wymianę sworzni. Zabraliśmy skrzynię z częściami, by sam zrobił tę wymianę w miejscowym warsztacie.

Na budowie, która na razie była rozkopaną jamą ziemi i stertą sylikatowej cegły, nie było nikogo. Popytaliśmy ludzi, zresztą turkot spychacza sam naprowadził nas na ślad. Podeszliśmy kawałek drogi. Ja cały w nerwach, Michta nieco zmieszany. Wyskoczył nam naprzeciw starszy gość w brudnym kombinezonie. Był wyraźnie wystraszony, ale odetchnął widząc tylko nas. Ponieważ Michta milczał, za co miałem już do niego pretensję, musiałem zadać pytanie ja.

— Co pan tu robi? — Dziecinne pytanie, prawda, ale trzeba je było zadać.

— Taki jeden mnie prosił — bąknął operator. — Ludzi trudno znaleźć, buduję się, rozumiecie panowie.

— Rozumie pan, panie Michta? — spytałem z głupia frant, żeby go przymusić do mówienia. Ten coś mruknął pod nosem i powiedział operatorowi, kim jestem.

Jeszcze zapaliliśmy papierosa czekając jak operator zawraca na swoją budowę, zrzuciliśmy skrzynkę z częściami zamiennymi i bez pożegnania, odjechaliśmy. Dusiła mnie złość na obydwu. Na siebie także, bo nie wiedziałem, jak zareagować odrzucając pierwszy odruch, by spisać protokół i przesłać sprawę do naczelnego inżyniera.

— I co pan na to? — spytałem Michtę w samochodzie.

— Ja? — zdziwił się. — Pan inżynier jest szefem.

— No, tak, rzeczywiście jestem — powiedziałem, ale nie było to przytaknięcie, a zabrzmiało raczej jak groźba, jak zapowiedź końca dotychczasowej sielanki we dwoje i nie wtrącanie się w wiele spraw pozostałych ludzi z działu, których już miałem na oku. I w tym momencie już mnie opuściły sprzeczne uczucia: złożyć meldunek czy nie? Postanowiłem przemilczeć całe zajście. Ale o nim nie zapomnieć, bo jak się już orientowałem, nie była to taka rzadkość w przedsiębiorstwach. Na przyszłość odłożyłem sobie wyrobienie, jakiegoś praktycznego stosunku dla podobnego przypadku. Dzisiaj to była niespodzianka, a podejmować decyzje w stanie zaskoczenia? Jeśli się tam na miejscu nic we mnie nie zagotowało, nie zareagowałem, darujmy sobie dalszy ciąg. Kapebe się przez to nie rozwali, taką firmę stać na zafundowanie jednej lekcji za paręset złotych, głównemu mechanikowi.

Mój dział poza kilkoma pokojami dla urzędników i warsztatem naprawczym, którym kierował mistrz Pietras działał względnie autonomicznie, byliśmy wszędzie tam, gdzie były maszyny i urządzenia. A ludzie? Stan techniczny maszyn zależał od nas. Ludzie, którzy je obsługiwali — nie. Był to paradoks pozorny, praktycznie nie mogło być inaczej. Nie mogliśmy nikogo bezpośrednio nagrodzić, ukarać, najwyżej złożyć wniosek. Byłem więc wszędzie obecny, ale moje królestwo to był właściwie ten jeden duży pokój z magazynem papieru i kilku ludzi, którzy te druki pracowicie wypełniali produkując raczej makulaturę niż rzeczy praktyczne, użyteczne. Miało to jednak swój sens w szerszym wymiarze. Ale Boże drogi, to upłynęły dopiero dwa tygodnie.

Jechałem więc do Elizy w kwietniową sobotę bez dopełnienia obietnicy. Może częściowo? Był to okres coś znaczący dla mnie. Wiedziałem w ogólnych zarysach, na czym będzie polegała moja praca. Bezpośrednio przeczuwałem, jakie trudności mi przyjdzie pokonać, uchwyciłem już trop, którego trzeba się będzie konsekwentnie trzymać. Zdeptałem także Kamieniec na wszystkie strony świata, co nie było tak trudne. Wystarczyłoby na dobrą sprawę jedno, dwa popołudnia, ale ja delektowałem się tymi penetracjami. Z planem w ręku przemierzałem uliczkę po uliczce, zatrzymywałem się przed zabytkowymi tablicami i szyldami urzędów, witrynami sklepów, tablicami ogłoszeń.

Któregoś popołudnia wdrapałem się na Górę Zamkową. Stąd rozpoznawałem znajome mi miejsca, orientując się według wieży ratusza, tutaj wytyczałem następne kwartały miasta do rozpoznania. Tutaj po raz pierwszy zobaczyłem całość, już nie tylko Kamieniec, ale kawał miejsca na ziemi, ujęte w zakola rzeki wijącej się jak zaskroniec, łąki i ciemne lasy, szachownice pól od północy i zachodu, wsie w dali jak kolorowe naszyjniki i zupełnie blisko zabudowania cukrowni.

Chodząc po mieście, zaglądając do kościołów i sklepów, jedynego muzeum, biblioteki, księgarni, zdeptując śródmieście i peryferie szukałem swego przyszłego miejsca na osiedlenie. Nie nazwałem tego tak może bezpośrednio, ale coś takiego mnie nosiło w każdą wolną chwilę.

Otrzymanie stałego mieszkania było w tej chwili niemożliwe. Mogli mi tylko przydzielić w każdej chwili z rezerwowej puli dla kadry, która dzierżył w swym ręku Wrzos. Ale ten moment decyzji zależał od jego osobistego uznania. W Radzie Zakładowej powiedzieli mi wyraźnie. „Spółdzielni mieszkaniowej jeszcze nie mamy w Kamieńcu. Do Rady Narodowej ani pan nie chodź. Na nasz blok, podania też nie warto pisać. Jak dyrektor powie, dać, tego samego dnia klucze panu wręczymy. Z nim trzeba gadać". A z kolei ja wiedziałem, że żeby z nim gadać, musi upłynąć parę miesięcy, pół roku, może rok. Musi się w każdym razie stać coś takiego, po czym on nie będzie miał cienia wątpliwości, że postawił na właściwego konia.

Tak więc wracałem po dwóch tygodniach bez żadnych konkretów, które mogłyby zachęcić Elizę, czy choćby złagodzić jej opór. Bo sądzę, że gdybym jej nawet przywiózł przydział na willę ze służbą i angaż na wielokrotnie większą kwotę niż otrzymałem — nie wywołałoby to w niej entuzjazmu dla przeprowadzki do Kamieńca. Pocieszałem się tylko, że czas, że cierpliwość; uroda miasta i okolicy, realna perspektywa na przyszłość, na ustabilizowanie i spokojne życie, skłoni ją do wyjazdu z Łodzi.

Autobus zataczał się na zakrętach wyskakiwał w powietrze na wybojach. Nie znałem tej trasy. Kierowca prawdopodobnie nadrabiał opóźnienie. Uważnie śledziłem mijane wioski i miasteczka. Rachityczne, zaniedbane, pół-wsie, pół-miasteczka. Długotrwała jazda zachęcała do rozmyślań, snucia rozmaitych spekulacji, fantazjowania. Chwilami cierpła mi skóra, gdy wyobrażałem sobie, że musiałbym wysiąść na pierwszym lepszym przystanku i pozostać tu na stałe. I za chwilę był śmiech nie opuszczający mnie od dwóch tygodni, wewnętrzny chichot, bo ja przecież takie miasteczko niewiele większe wybrałem. I tak samo parę miesięcy wcześniej zareagowałbym na widok Kamieńca z okna pociągu czy autobusu.

Jechałem więc i tak się sam z siebie podśmiewałem, jednak z każdym kilometrem mina mi rzedła, posępniałem, bo Eliza miała wyjść na dworzec i zaraz od tego momentu zacznie się dalszy ciąg tej próby sił, którą tylko przerwał, a nie zlikwidował, mój wyjazd.

Ostatnio dzwoniła prawie codziennie do zakładu, co nie było najlepszą zapowiedzią. Prawdopodobnie już o nas w Kapebe wszystko wiedziano. Nie wierzyłem w dyskrecję dziewczyny obsługującej centralę. Nie ukrywała, co sądzi o Kamieńcu i jego mieszkańcach. Jakby to mówiła do kogoś poza mną, stojącego za jej plecami (Moniki? Matki?) albo podsłuchującego na linii. Tak chyba było. Machnąłem na to ręką, bo cóż to były za tajemnice młodego żonkosia, po raz pierwszy na tak długo odseparowanego od swojej dziewczyny.

Czyniłem sobie coraz większe wyrzuty, że nie dość energicznie zabiegałem o jakiś sublokatorski pokój, że rzuciłem się zajadle na tę pierwszą, prawdziwą pracę, zapominając, że mój prawdziwy los rostrzygnie się nie tutaj, że decyduje o nim mój związek z Elizą, że najważniejszą sprawą jest zdobycie jej po raz wtóry. Bo przecież tylko wówczas miał sens ten wyjazd do Kamieńca. Nie była to przecież wyprawa po złote runo, pracę i jakąś perspektywę, miałem także w swoim rodzinnym mieście, mając tu wielu bliskich ludzi. Chodziło o to, żebyśmy we dwoje tutaj wylądowali, odnaleźli się bez niczyjej pomocy i dawali sobie radę o własnych siłach. I jeszcze: żebyśmy dali coś z siebie tym ludziom zasiedziałym tu od lat i temu miasteczku któremu powinniśmy się przydać jak zastrzyk świeżej krwi.

I kiedy autobus zajechał na dworzec i jako jeden z pierwszych wyskoczyłem na chodnik i zobaczyłem Elizę, jej radosne i podniecone oczy, byłem pewien jak dwa razy dwa jest..., że to, o czym myślałem, jest tak realne, jak realna jest ta dziewczyna popiskująca radośnie w moim uścisku.

(C.d.n.)

KUCÓWNA

Tytuł tej książeczki jest równie prosty jak skojarzenia wywołane nazwiskiem wybitnej aktorki. Zofia Kucówna to przecież Panna Młoda z „Wesela" Wyspiańskiego, Lizzie z „Ładacznicy z zasadami" Sartre'a, Wala z „Irkuckiej historii" Arbuzowa, Zosia z telewizyjnego „Pana Tadeusza", Balladyna z dramatu Słowackiego, Elektra Eurypidesa, Panna Julia Strindberga... Słowem — upamiętniła się Kucówna w umysłach widzów (telewizyjnych i teatralnych) dziesiątkami ról. Bowiem aktor to przede wszystkim kreowane przez niego role — każda analiza, każda biografia mogą być tylko dodatkiem do owego dorobku. Nic więc dziwnego, że autor tej książki, Andrzej Hausbrandt, pisze: „wszystko, co tu napisano, stanowi li tylko szkic do portretu aktorki. Jak każdy szkic jest próbą zmierzającą do schwycenia i utrwalenia określonych cech. Nie wszystkim zapewne, bo na to zbyt wcześnie, nie w pełni obiektywnie, bo zbyt jeszcze bliska perspektywa". Ale — jak pisze Hausbrandt — role Kucówny inkrustowane są jej własnym, prawdziwym życiem. I nie jest to „wszystko na sprzedaż", ale wszystko do oddania innym, wraz z własną prawdą. Piękną i prostą — o dobrych ludziach i trudnym, ale wspaniałym świecie. Optymistyczną i mądrą.

Andrzej Hausbrandt — „Kucówna", Wyd. Artystyczne i Filmowe, cena 30 zł.

POLACY W DZIEJACH USA

Doc. dr Longin Pastusiak urodził się w 1935 roku w Łodzi i tu też pracował przez jakiś czas jako dziennikarz w łódzkiej prasie. Potem — po studiach w USA — pracował w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych, gdzie kierował Zakładem Rozwiniętych Krajów Kapitalistycznych, a następnie Pracownią Krajów Ameryki Północnej.

Od ubiegłego roku doc. dr Longin Pastusiak jest zastępcą dyrektora w Instytucie Badania Współczesnych Problemów Kapitalizmu oraz kierownikiem Zakładu Ameryki Północnej w tym Instytucie. Jest ponadto autorem blisko dwudziestu książek poświęconych problemom amerykańskim.

Wydana ostatnio przez „Wiedzę Powszechną" książka „Polacy w zaraniu Stanów Zjednoczonych" jest zbiorem szkiców przeznaczonych dla szerokiego kręgu odbiorców. Poświęcona jest związkom polsko-amerykańskim w początkowym okresie dziejów Stanów Zjednoczonych. Przypomina wkład Polaków we wczesne osadnictwo na ziemi amerykańskiej oraz wojnę o niepodległość, wzajemne wpływy, głosy opinii publicznej o doniosłych wydarzeniach w obu krajach w ostatnim ćwierćwieczu XVIII wieku.

Nowa książka Longina Pastusiaka zawiera także warstwę współczesną, zwraca uwagę na współczesne interpretacje tradycji historycznej w kręgach Polonii amerykańskiej i w kołach oficjalnych.

Longin Pastusiak — „Polacy w zaraniu Stanów Zjednoczonych", Wiedza Powszechna, cena 20 zł.

IKONOGRAFIA ŚWIECKA

Zakład Historii Sztuki Nowożytnej Powszechnej w Instytucie Historii Sztuki UW od dawna postawił sobie za zadanie podejmowanie badań w zakresie nowożytnej ikonografii świeckiej. Jest to bowiem dziedzina nadal badana w sposób niepełny i daleki od sysytematycznego ujęcia.

Potrzebne są jeszcze ciągle monograficzne opracowania poszczególnych tematów i motywów, podobnie jak tradycyjnie powracających zespołów tematycznych i szczególnie dobitnych obrazów o zmieniającej się treści.

Wydany przed siedmiu laty tom „Myśl o sztuce i sztuka XVII i XVIII wieku" zapoczątkował serię wydawniczą „Idee i sztuka", poświęconą publikacji prac koncentrujących się z jednej strony na dziejach doktryn artystycznych, z drugiej na problematyce ikonograficznej sztuki pośredniowiecznej. Redaktorem naczelnym owej serii jest prof. Jan Białostocki.

Tom oddany obecnie do rąk czytelników zawiera pięć rozpraw przygotowanych w Zakładzie Historii Sztuki Nowożytnej Powszechnej UŁ. Związane są one wspólną tematyką, jaką jest kształtowanie się humanistycznego języka obrazów, panującego w sztuce od XV do XVIII wieku.

„Nowożytna ikonografia świecka", PWN, cena 66 zł.

ŚMIECH STAROPOLSKI

Opracowany przez Zbigniewa Taranienko zbiór „Śmiech staropolski" zawiera trzy scenariusze, będące adaptacjami utworów staropolskich, które łączy — poza wspólnym tytułem — spora dawka jędrnego, staropolskiego humoru.

Podstawą pierwszego scenariusza są „Rozmowy, które miał król Salomon mądry z Marchołtem grubym a sprośnym" Jana z Koszyczek, jeden z najstarszych utworów drukowanych z języku polskim. Drugi, znajdujący się w zbiorze scenariusz, „Tragedia o polskim Scylurusie", powstał na podstawie utworu bakałarza z Pilzna, Jana Jurkowskiego. Podstawą trzeciego scenariusza „Otrzęsiny" jest opis żakowskiego obrzędu przekazany przez Józefa Ignacego Kraszewskiego w powieści „Zygmuntowskie czasy". Właściwy materiał fabularny swawolnej ceremonii powstał z fragmentów kilku drobniejszych utworów. Dodajmy zresztą, że Taranienko w swoje trzy (bardzo oryginalne zresztą) scenariusze włączył sporo innych tekstów staropolskich autorów. Znajdujemy tu zatem motywy i fragmenty z utworów Szymona Zimorowicza, Adama Jarzębskiego, Klemensa Janickiego czy Mikołaja z Wilkowiecka.

Wydawcą owej książeczki jest Centralny Ośrodek Metodyki Upowszechniania Kultury.

Zbigniew Taranienko — „Śmiech staropolski", Wyd. COK, cena 31 zł.

WARTO PRZECZYTAĆ

M. Druon — „Lew i lilie". Powieść historyczna. t. VI. Cykl historyczny: „Królowie przeklęci". WL, cena zł. 40

L. B. Grzeniewski — „Miejsce na ziemi. Szkice warszawskie" Biblioteka „Syrenki", PIW, cena zł 30

„Założenia teoretyczne badań nad rozwojem historycznym. Materiały z Konferencji Metodologicznej „Marksistowskie dyrektywy metodologiczne badań historycznych" Poznań — 7—9.X.1974 r PWN, cena zł 75

L. Joachimowicz — „Seneka". Seria: „Myśli i ludzie", WP, cena zł 26

B. Skarga „Comte". Seria: „Myśli i ludzie", WP, cena zł 29

MUZYKA

ZAŁOŻENIA I RZECZYWISTOŚĆ

„...świat, którego wytworem była operetka, przeminął wszędzie i bezpowrotnie. Ale pozostał mit. I pozostała potrzeba rozrywki, która jawi się jako coś więcej niż rozrywka. Jest to jak gdyby sprawa awansu bez wysiłku. Operetka tak łatwo awansuje publiczność do rzędu odbiorców sztuki, tyle im obiecuje, tak niewiele od nich żądając, że sam ten fakt zapewnia jej trwałość powodzenia".

Paweł Beylin
„O muzyce i wokół muzyki"

Mamy w kraju dziesięć teatrów operetkowych: w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Wrocławiu, Szczecinie, Bydgoszczy, Gliwicach, Gdyni, Lublinie i w Łodzi. Operetki w Łodzi, Krakowie, Szczecinie i Gdyni noszą nazwę teatrów muzycznych. Dlaczego starą, poczciwą operetkę przechrzczono na teatr muzyczny? Myślano chyba o rozszerzeniu, wzbogaceniu repertuaru. A może nazwa „operetka" się już przeżyła? Wzbudza przecież u wielu mieszane uczucia, jako rzecz skompromitowana.

Polskie operetki odwiedza rocznie ok. 2 mln widzów. Na ogół dyrekcje kompletują widownie. Ilość miejsc w poszczególnych teatrach jest różna, bo Operetka Lubelska dysponuje 425 fotelami, a nasz Łódzki Teatr Muzyczny ma ich 1114. Łącznie, widownia naszych operetek liczy ok. 7.000 miejsc. Nie można tego jednak dokładnie obliczyć, ponieważ operetki grają dużo w tzw. „terenie", prezentując się nawet w kilkutysięcznych salach widowiskowo-sportowych.

Jaki jest stan faktyczny naszych operetek? Przyjrzyjmy się warunkom lokalowym. Operetka w Bydgoszczy występuje tylko trzykrotnie w ciągu tygodnia, co daje ok. 180 spektakli rocznie. Wraz z operą stanowi jedność administracyjną. Pomieszczenia operetki rozrzucone są po Bydgoszczy w siedmiu miejscach. Miejski Teatr Muzyczny w Krakowie mieści operę i operetkę, a sam budynek przypomina raczej obiekt sportowy. Opera Dolnośląska we Wrocławiu korzysta z gościny kina „Śląsk". Jest tu aż 1100 miejsc, ale jakoś nikt nie pomyślał o żelaznej kurtynie, więc wpuszcza się tylko 600 widzów. Jeżeli dyrektor chce dać spektakl dla kompletu widzów, tzn. wg planu dla 1000 osób, to musi wykładać pieniądze dla ekipy wozu strażackiego, która w czasie przedstawienia wypatruje pożaru.

Wymienione trzy operetki są sublokatorami innych przybytków kultury. Za locum Operetce Śląskiej służy dawna ujeżdżalnia koni na przedmieściu Gliwic. Operetka Lubelska występuje przed publicznością w sali kinowej Garnizonowego Klubu Oficerskiego. Owa sala sąsiaduje przez ścianę z kasynem wojskowym i ma z nim wspólne wejście.

Wystarczające są już te fakty do stwierdzenia, że warunki, w jakich przychodzi pracować zespołom operetkowym, do najlepszych nie należą. Ale już np. sytuacja Łódzkiego Teatru Muzycznego w tym względzie może budzić zazdrość innych.

Przeciętnie każda operetka daje 250 spektakli, ale i z tym jest różnie, bo w Bydgoszczy gra się ok. 180 razy, a plan operetki poznańskiej przewiduje 270 przedstawień. Repertuar tych widowisk jest zdecydowanie konserwatywny, ubogi. Wśród premier obcych twórców króluje repertuar XIX-wieczny lub z przełomu XIX i XX wieku. To dobrze, że klasyka cieszy się takim uznaniem, że dalej chętnie słuchamy Offenbacha, Straussa, Lehara, Kalmana, ale gdzież nasz, rodzimy repertuar? Na 25 premier w 1972 roku tylko 7 było autorstwa czwórki polskich kompozytorów. Taka proporcja utrzymuje się i dziś. Oznacza to, że nie ma tendencji do uwspółcześniania linii repertuarowej, ani że się nie myśli o przerobieniu trzonu repertuaru. Jasne, że istnieje uzasadnione ryzyko w wypadku, gdy sztuka może się nie sprawdzić u publiczności, bo i tak bywa. A publiczność nasza przyzwyczajona jest do utartych wzorów i schematów. Słyszy się, że dyrektorzy operetek skarżą się na brak polskich sztuk. Nasi muzycy i autorzy tekstów nie chcą pisać dla potrzeb operetki.

Po wojnie było wiele nieudanych operetek, komedii muzycznych, musicali. Kilka zaledwie można zaliczyć do poprawnych i **dwie** (podkreślenie nasze) do dobrych. Mianowicie, popularna śpiewogra Gaertner i Brylla „Na szkle malowane", choć nie spełniała ona tych warunków, jakie dyktuje dzisiejszy teatr muzyczny. Jednak w polskim repertuarze tego gatunku jest ewenementem. I jeszcze historia muzyczna „Pan Zagłoba" Augustyna Blocha. W innych krajach dla operetek tworzą znakomici kompozytorzy. W Związku Radzieckim pisał kiedyś operetki Szostakowicz, dziś pisze Chaczaturian.

Sprawa kształcenia kadr jest od lat dyskutowana, lecz bez skutku. Ze skompletowaniem dobrego zespołu, w tym także chóru, problemy są niemałe. Chór jest obudową wokalną i aktorską scen zbiorowych i stanowi nieraz zaplecze, z którego rekrutują się ewentualne nowe gwiazdy.

Istniejącej sytuacji próbował zaradzić krytyk, Lech Terpiłowski: „...jeżeli nie można budować teatru opartego na wielkich głosach i świetnym aktorstwie — trzeba go realizować w oparciu o aktorstwo zespołowe możliwie na najwyższym poziomie i jak najlepszy, najciekawszy i oryginalny repertuar. Pierwsza to zrozumiała Danuta Baduszkowa i taki właśnie teatr buduje — już od dawna ewoluując w tym kierunku". To właśnie Baduszkowa wystawiła w kierowanym przez siebie Teatrze Muzycznym w Gdyni większość najciekawszych polskich prapremier, potem dopiero granych na deskach innych teatrów.

W naszych teatrach operetkowych mamy do czynienia z takim oto paradoksem: w opinii ogółu, a zwłaszcza środowiska artystycznego, operetki znajdują się na jednej z najniższych pozycji — unikają ich jak ognia aktorzy i reżyserzy z prawdziwego zdarzenia. Z drugiej znowu strony, od dzisiejszych artystów operetkowych oczekuje się więcej niż od aktorów dramatycznych. Artysta operetki musi być aktorem, śpiewakiem i tancerzem, a poza tym powinien być młody i przystojny.

A co w zamian dyrekcja operetki oferuje artyście? Niezbyt wysokie uposażenia, trudne warunki lokalowe, wyjazdy w teren, nienadzwyczajny repertuar, kiepski prestiż we własnym środowisku.

Przy łódzkiej PWSM utworzono Wydział Wokalno-Aktorski, ale szczególną wagę przykłada się tu do śpiewu, zgodnie zresztą z profilem uczelni. Jeden taki wydział (w Katowicach — wyłącznie piosenkarski) to trochę przymało przy dużym stanie ilościowym zapotrzebowań dziesięciu operetek. Wędrują więc do operetek śpiewacy bez kwalifikacji aktorskich i aktorzy nie umiejący śpiewać. Brak wszechstronnych artystów teatralno-muzycznych, a wyjątek w postaci paru znanych nazwisk, nie tworzy w tym przypadku reguły. Jeżeli się ktoś „wybije", ucieka zaraz do Warszawy. Może nie tyle przez snobizm, co przez wzgląd na warunki artystyczne i finansowe.

Działalnością teatrów muzycznych (pozostańmy przy tej nazwie) prawie wcale nie interesuje się krytyka muzyczna. Właśnie brak tej swoistej kontroli powoduje bezład i prawie bezkarną działalność kierowników i reżyserów. Wiedzą oni, że nikt nie będzie pokazywał publicznie ich złej roboty i w efekcie — powstają sztuki o niskim poziomie artystycznym.

To wszystko, o czym piszemy, nie jest nowością i nęka nasze teatry muzyczne od lat. Trzeba zdać sobie sprawę z tego, że operetki nasze narodziły się w efekcie pewnej odmiennej koniunktury. Ukształtowały się żywiołowo, ponieważ istniał repertuar, a z okresu przedwojennego pozostała grupa wykonawców. Nie są więc teatry muzyczne wytworem jakiejś długofalowej, określonej polityki kulturalnej.

Pora poczynić takie kroki, by sytuacja polskiej operetki uległa radykalnej zmianie na lepsze. By nie zatracał się sens sformułowania „teatr muzyczny".

BARBARA OLEJNIK
PAWEŁ LARECKI

STRZAŁ W „DZIEWIĄTKĘ"

Sporo czasu minęło od ostatnich akordów DZIEWIĄTEJ SYMFONII BEETHOVENA i zdążyłem już dobrze ochłonąć po emocjach związanych z otwarciem nowego sezonu koncertowego, a mimo to nie umiem sobie poradzić z wrażeniem, które dotyka człowieka zawsze wtedy, gdy mu się samemu coś w sobie nie zgadza. Ludzie różnie nazywają taki stan — ja nie odważę się na próbę „zbliżenia" czytelnikowi jego smaku, ani nawet nie podprowadzę choćby w pobliże nazwy. Zdaję sobie bowiem sprawę, że zwykle każde podpatrywanie przez duchową dziurkę od klucza — a cóż dopiero zezwolenie komuś na takie zajęcie! — skończyć się może chwilowym co najmniej wyeliminowaniem ciekawskiego z grona osób normalnie trawiących.

Przyszło mi w tym roku złożyć się do strzału w „Dziewiątkę". Wymigałbym się od tego, gdybym tylko mógł, bo zarówno wielkość tej symfonii jak i ogrom geniuszu Beethovena przeraża i paraliżuje piszącego o jego dziełach z samego tylko strachu przed użyciem „nie takiego" sformułowania. Do tego firma JAN KRENZ zobowiązuje.

Zjawiłem się więc przed kasą filharmonii dosłownie na kwadrans przed koncertem. Tłum walił do wejścia, a mnie pani w okienku pokazała ręce w geście bezradności. Przyznaję, że wszedłem bez biletu.

Krenz, człowiek żelaznych zasad, uznaje jedyny sposób przygotowania się dyrygenta do koncertu, czyli bez partytury, a więc tak jak przygotowani są wszyscy soliści instrumentaliści, rozpoczął... od wyciszenia rozedrganej sali. I zaczęło się. Pierwszą nabrzmiewającą ponurością długą nutą. Zbliżaniem zła. Początkiem najdłuższej bitwy w życiu Beethovena.

Dzieło jest gr mne w wymiarach. Wielkie wielkością pasji i nadziei w sens tej walki, w potrzebę chwili choćby najuboższej w radość. Nawet tę przez łzy przegranej. Dzieło wielkie najszczerszym manifestem braterstwa, lekcja radości z poczucia więzi człowieczej — wszak wszyscy walczymy o to samo: aby był sens w ostatniej, najtrudniejszej i zawsze przegranej walce każdego z naszych istnień. Trzeba tylko dawać innym radość. Po prostu tak, jak dano nam dziewiątą symfonię.

Słów kilka o Schillerze, gdyż to właśnie o tekst jego pieśni zapragnął kompozytor rozbudować dzieło, do którego przygotowywał się przez całe życie. Otóż w jednym z pism estetycznych powiada, że natura dała człowiekowi za towarzyszów dwóch geniuszów — poczucie piękna i poczucie wzniosłości. Myślę, że wiedzieć o tym i na to liczyć w każdym z ludzi (och, jakie to byłoby piękne) oznaczałoby być — uwolnionym od zła własnego i cudzego. Dałoby to najszczęśliwszą nadzieję na panowanie radości. Wiedział o tym Beethoven, wiemy i my. Ale czy wszyscy uczestnicy inauguracyjnego koncertu. U tych bowiem walka o lepsze — przynajmniej w sferze wykonawstwa i w sensie przygotowania się — nie zaznaczyła się właściwie niczym. Podejrzewam, że radość życia jest tu opacznie rozumiana.

Pierwszą część symfonii — Allegro, wykonano: Krenz z Beethovenem sobie, a filharmonicy sobie. Ostatecznie orkiestra wchodząc na estradę już WIE! Wie wszystko jak i co. Dyrygent wstawia to w już ostateczne ramy koncertowe, czuwa nad tempami, może pokazać wejście, przypomnieć o czymś gestem... Tu już się nie da nic zrobić więcej. Zwłaszcza z orkiestrą właściwie jeszcze „wakacyjną" i grającą tysiącem intonacji — przede wszystkim w skrzypcach. Drewno w trzeciej — bardzo lirycznej i śpiewnej części było „drewniane" i mało plastyczne. I nawet co z tego, że rzetelne, jeśli ten problem w innych grupach nie daje się podnieść. Wejście chóru i solistów urozmaica obraz pola bitwy. Orkiestra jest swobodniejsza, a cały ten odcinek kompozycji aż do wejścia solisty i chwilę później chóru, ładniejszy i zagrany z czuciem. Przypomniałbym tylko słowa Schumanna: „Trwanie dźwięku jest procesem, w którym coś się dzieje". We wszystkich długo stojących nutach powinien on być zauważalny. Scherzo było po niemiecku chwilami przyciężkawe.

Jakkolwiek żadna z partii wokalnych nie ma w symfonii miejsca na solistyczny rozmach, to niemniej soliści: BOŻENA BETLEY — SIERADZKA, KRYSTYNA SZOSTEK—RADKOWA, MIECZYSŁAW ANTONIAK i LEONARD ANDRZEJ MRÓZ, potraktowali swoje wystąpienie z wielkim przejęciem, za co publiczność była im bardzo wdzięczna. Piękne tu były i sola i współbrzmienia.

A chór? Pierwszą jego odpowiedzią soliście był tekst: „Niech ten uścisk świat obleci". Och, uściskać cały za spontaniczność i śpiew. Zastanawia zbyt słabe obsadzenie głosów męskich.

Nie jest mi dane wiedzieć, jakie wrażenie z koncertu wyniósł sam dyrygent. Jakże łatwiej być solistą, gdy spogląda się z wysokości dyrygenckiego podium. Krenz przypomniał się łódzkiej publiczności, która dla niego nie jest „normalną" publicznością. Ongiś przed laty była jego pierwszą. Nie wiem, co myślał wtedy, a co teraz.

Ale był znów wspaniały.

ALE BYŁ ZNÓW WSPANIAŁY.

PIOTR PIETRZAK

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

OPERETKA Z LA BELLE EPOQUE

„To nie jest książka historyczna" — zastrzega się Witold Filler we wstępie do drugiego (po latach) wydania głośnego „Rendez-vous z warszawską operetką". Oczywista nieprawda, bo książka jest właśnie historyczna, ale jak znakomicie napisana! Zgoda, że to nie jest nudna piła naukowa, ale świetny, plastyczny, dowcipny reportaż historyczny.

Temat owego reportażu zasygnalizowany jest już w tytule. Mój Boże! Operetka! Jakiż wdzięczny obiekt dla historyka, który potrafi znakomicie władać piórem!

„Kobietki, ach, kobietki, ach
Tancerki, szansonetki, ach
Podziwiam, panie dzieju
Ubóstwiam, dobrodzieju..."

No, właśnie. Z tego zauroczenia tematem powstała przed laty znakomita książka, która zdążyła stać się legendą i klasyką, zanim wydawnictwo zdecydowało się wydać ją po raz drugi w nakładzie prawie bibliofilskim i po cenie komercyjnej.

Piękne czasy — pisze Filler. Bo to przecież na scenie same legendarne diwy — Zimajerka, Kawecka, Messalka, Niewiarowska... A jednocześnie operetka pełniła funkcje salonu mody, kabaretu politycznego, kroniki aktualności, szkoły tańców salonowych, wreszcie akademii form towarzyskich.

Patrząc na powyższy wykaz nasuwa się współczesna analogia. Otóż operetka była tym, czym dzisiaj jest estrada i dyskoteka. Sam Filler nam to porównanie sugeruje pisząc, że operetka „nie dbała o wykształcenie rodzimej kadry dostawców repertuaru", że „lekceważyła w głębi duszy swych autorów", że „nie troszczyła się o zachowanie nieskazitelnej czystości myśli kompozytorskiej..." Wypisz — wymaluj estrada.

Tak sobie myślę, że kiedy pod koniec tego stulecia przyjdzie czas na spisanie jakiegoś „rendez-vous" z warszawską rozrywką połowy wieku, podjąć się powinien tego zadania osiwiały już wówczas Witold Filler. Może mniej będzie w owej książce zauroczenia, a więcej złośliwości, lecz z całą pewnością będzie to „reportaż sercem pisany".

Nawiasem mówiąc, jest jeszcze jedna legendarna książka Witolda Fillera. Mam na myśli „Melpomenę i piwo" — rzecz o warszawskich teatrzykach ogródkowych, mówiąc w skrócie. Bo tak naprawdę „Melpomena i piwo" jest przecież piękną, pasjonującą opowieścią o nie istniejącej już Warszawie, o ludziach z pięknej epoki, którzy odeszli wraz z nią i o obyczajowości zapomnianej, a tak fascynującej, gdy ją ktoś przypomni.

A żeby nam się emocje pradziadków ułożyły w trylogię, przypomnijmy jeszcze trzecią książkę Fillera „Cyrk czyli emocje pradziadków". Wszystkie te książki tworzą panoramiczny, świetny reportaż historyczny o emocjach i fascynacjach naszych dziadków.

Byłoby niestosownie namawiać Fillera do porzucenia tematyki współczesnej, sam autor może by się nie obraził, ale inni mogliby to mieć felietoniście za złe. Więc nie odmawiam go od teorii i praktyk premier i prapremier, ale przecież Melpomena i Klio czekają...

„Ten biuścik, ach, niebrzydki, ach
I popatrz pan, te łydki, ach
A w domu — ona, żona, ach
Nie mówmy o tym, ach".

Ależ, przeciwnie! Mówmy! Jeśli tylko nie będzie to nudna „praca doktorska" wyprana z wdzięku i lekkości — mówmy. Bo przecież cyrk, operetka, scena ogródkowa — to także elementy kultury, kto wie czy nie bardziej sugestywne od repertuaru z podręczników. Dzisiaj mówimy o tym „kultura masowa" i gdyby to ode mnie zależało, dałbym Fillerowi doktorat za temat „Problemy percepcji rozrywkowego repertuaru placówek teatralnych i quasi-teatralnych w Warszawie na przełomie wieku XIX i XX".

Oczywiście żartuję. Fillerowi doktorat się nie należy, ponieważ nie opanował, jak dotąd, sztuki nudnego pisania.

WIDOK

Foto: Archiwum

REFLEKSJE

IGRASZKI SŁOWEM I MYŚLĄ

1.

Czy istnieje zdecydowana granica między aforyzmem, paradoksem, kalamburem, przemyślnie skonstruowaną maksymą? Trudna to sprawa. We wszystkich przypadkach mamy przecież do czynienia ze sztuką zręcznego i wymownego kojarzenia różnych obszarów znaczeniowych i zwięzłego ich ujęcia.

Taki rodzaj myśli, który określa się najczęściej mianem aforyzmu jest znacznie starszy niż przyjęta ogólnie grecka nazwa. Myśli owe mają swoje odpowiedniki w literaturze egipskiej, hebrajskiej, sanskryckiej. Niełatwo ustalić ich dokładną genezę. Jedno wszak nie ulega wątpliwości: musiały powstać w czasie, gdy — jak powiadał Bruno Winawer — „nie było jeszcze honorariów od wiersza".

Etymologicznie — wedle greckiego źródłosłowu — aforyzm oznacza „oddzielenie, określenie, osiągnięcie pewności". Kazimierz Orzechowski, autor wydanej niedawno przez Ossolineum antologii aforyzmu polskiego pod wymownym tytułem „Żądło i miód mądrości", wymienił w definicji przez wyliczenie siedem podstawowych cech aforyzmu i też — jak się samokrytycznie przyznał — sprawy nie wyczerpał. Dlatego najwdzięczniejsze pozostają w dalszym ciągu określenia samych aforystów, na przykład: „Aforyzm to półprawda sformułowana tak, aby obrońcę tej drugiej połowy szlag trafił". „Aforyzm to najniekonsekwentniejsza myśl z najniekonsekwentniejszych myśli".

Sztuka zręcznego kojarzenia mimo niewątpliwie językowego mechanizmu jest na ogół przekładalna. Dlatego możemy z powodzeniem korzystać z dorobku klasyków tego gatunku, tak często występującego w literaturze europejskiej.

2.

Aforyzmy — jako skrót myślowy, jako dowcipne i zwięźle uchwycone sedno rzeczy — modne były właściwie zawsze. Stąd też granice oryginalności są tu bardzo nieostre. Liczni autorzy „złotych myśli", „maksym", „prawideł", „ziaren mądrości" i innych sentencji często posługują się powiedzeniami znanymi, nieraz tylko inaczej podanymi. Niekiedy źródła inspiracji są rzeczywiście niełatwe do uświadomienia, innym razem plagiat jest wyraźny. Ale i wtedy — jak pisał Stanisław Jerzy Lec — „plagiatorzy śpią spokojnie. Muza — kobieta, rzadko wyjawi, kto był pierwszym...". W związku z powyższym pytanie Karola Irzykowskiego: „Czy kalambur wywołany diablikiem drukarskim i podchwycony potem przez autora jest plagiatem?".

3.

Tematyka aforyzmów jest praktycznie nieograniczona — aforysta powinien odkrywać coraz to nowsze skojarzenia, zaskakiwać, prowokować do niebanalnej refleksji.

Tak się jakoś składa, że w aforystyce — podobnie jak w filozofii — dominują mężczyźni. Kobiety z rzadka występują na tym polu, ale usiłują dzielnie przeciwstawiać się mężczyznom. Znana autorka aforyzmów Austriaczka Marie von Ebner-Eschenbach napisała w obronie kobiet takie oto słowa: „Mądra kobieta ma miliony naturalnych wrogów — wszystkich głupich mężczyzn". Któraś z jej koleżanek po piórze dodała: „Nie zaprzeczam temu, iż kobiety są niemadre: Bóg Wszechmogący stworzył je na podobieństwo mężczyzn".

Tak więc trwa przetarg płci również w aforystyce. Z jakim skutkiem? Ano z takim samym jak dawniej, kiedy to podobno szatan skusił Ewę bez specjalnego wysiłku za pomocą aforyzmu.

4.

W gruncie rzeczy większość złotych myśli, kalamburów i aforyzmów to intelektualna igraszka słowem i myślą, dowcipna zabawa. Powstaje ona często wskutek odwrócenia tradycyjnego frazeologizmu, na przykład: „można wymierzać sprawiedliwość, ale niesprawiedliwość jest niewymierna". Po ukazaniu się głośnej swego czasu książki Antoniego Słonimskiego pt.: „Moje boje nad Bzurą" powiadano w środowisku literackim, iż Adolf Nowaczyński nosi się z zamiarem napisania utworu „Moje bzdury nad Boyem". W tym samym mniej więcej czasie bawił Polaków następujący dowcip:

— Jaka jest różnica między trawą, a ministrem Grabowskim?

— Trawę można zgrabić, a Grabowskiego nie można strawić.

5.

Skoro pojawiły się już dowcipy językowe — pozostańmy przy nich. Oto kilka dowcipów opartych na wieloznaczności:

— Gdzie ja nie byłem! Już nie czuję nóg!

— To znaczy masz kątar!

— Wczoraj przez pomyłkę użyłam do budyniu płatków mydlanych zamiast owsianych.

— A co na to mąż?

— Pienił się.

Rozmowa początkującego poety z krytykiem?

— Jak pan znajduje moje wiersze?

— Zwyczajnie, wertując roczniki starych czasopism.

— Pańska córka jest piękna jak poezja.

— O tak, trudno ją wydać.

6.

Pożytki płynące z igraszek słowem i myślą są rozliczne. Ćwiczą myślenie zwięzłe, trafne i dowcipne. No i o jednej jeszcze sprawie nie wolno zapomnieć, bo przecież aforyzm „ma nad każdym innym gatunkiem literatury tę przewagę, że się go nie odkłada, zanim się go nie przeczyta do końca".

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

LEWYM OKIEM

MÓWMY O CZYM INNYM!

Ludzie pogodni i bez kompleksów są w każdym gronie elementem wyciszającym, łagodzą napięcia, potrafią niejako wytwarzać zadowolenie u swoich rozmówców, bo zawsze im przyznają rację i chętniej słuchają niż mówią. Mówi się o nich, że „są łatwi w pożyciu". Bardzo pięknie. Nie odmawiamy tu niewątpliwych zalet owej nieustannie rozradowanej i uśmiechniętej buzi, a zwłaszcza owych skłonnych do słuchania uszu i owych warg, chętnie udzielających taniej a nieobowiązującej aprobaty. Bardzo pięknie.

A przecież bardzo a bardzo nie lubię jednej nieuniknionej, „immanentnej" cechy ludzi pogodnych. Tej mianowicie, że oni swojej manifestacyjnie obnoszonej pogody ducha bronią nazbyt toporną, prymitywną metodą — prostego nie przyjmowania do wiadomości. Wyłączają się natychmiast, kiedy zaczyna się mówić o ciemniejszych stronach życia, o przykrych, trudnych, tragicznych sprawach — oni nie chcą mieć z tym nic wspólnego, im to może zaszkodzić na żołądeczek, a po co ma szkodzić?

Po co czytać mądre, ale tragiczne wstrząsające książki? Po co wspominać wiecznie o potwornościach wojny — tej naszej i tych innych, toczących się gdzie indziej, ale przecież z udziałem takich samych ludzkich ciał, serc i umysłów? Jowialny rozkoszniak wyłącza z miejsca telewizor, gdy na ekranie ukaże się cierpienie, płacz, krzywda. Nie chodzi do kina na filmy inne niż western, komedia i Love Story. Nie wolno przy nim wspominać o zgonie lub o chorobie kogoś bliskiego, choćby to był nasz wspólny najbliższy przyjaciel. — To straszne, ale mówmy o czym innym — powiada rozkoszniak i z uśmiechem zaczyna opowiadać najnowszy kawał o teściowej. Nigdy nikogo nie odwiedza w szpitalu, nie chodzi na pogrzeby, nie odwiedza cmentarzy. Nie przyjmuje do wiadomości, bo mu tak wygodniej. Grunt się nie przejmować.

Z takim facetem... a właściwie należałoby powiedzieć z taką facetką, bo w rodzinie pogodnych bobasów ogromną większość stanowią panie — otóż z taką panią, choćby była piękna, zgrabna i strojna, urywa mi się kontakt po paru słowach. Skoro pyta mnie uprzejmie acz zdawkowo, co u mnie ostatnio słychać, skoro jej szczerze a naiwnie mówię o jakiejś gnębiącej mnie właśnie sprawie i wierzę, że mówię do kogoś życzliwego, kogo moje troski mogą obchodzić — a widzę od razu absolutną nieobecność psychiczną mej rozmówczyni, to już dalej nie chce mi się gadać w ogóle. Zwłaszcza kawałów, a także idiotycznych banałów śliskich od stu milionów dotknięć, banałów punktowanych wzajemnym durnym „właśnie", „ja też tak myślę", „oczywiście", „masz rację", „świetnie to ująłeś". Lubię — jak każdy mężczyzna — znajdować potwierdzenie swoich myśli u rozmówców, ale nie potwierdzenie zdawkowe, rzucone czym prędzej, bo po co się przejmować tym co gość gada? Myśl sobie jak chcesz — widzę w pogodnych, wyzbytych jakiegokolwiek zaangażowania oczach. Oczywiście, że będę myślał, jak chcę, tylko nie chce mi się o tym gadać z próżnią. Z uprzejmą, uśmiechniętą próżnią, przejętą ważnością swojej za wszelką cenę „pogody".

Ludzi pogodnych nie obchodzi świat taki, jaki jest. Skoro nie mogę tego naprawić, to po co mam o tym myśleć — mówią i uważają się za wytłumaczonych. A to nieprawda, proszę pań i — mniej licznych — panów. Nie ma wytłumaczenia dla ludzi, których obchodzi co setna sprawa — ta mianowicie, która w ich duszyczce żadnego nie wzbudzi niepokoju. Chcecie być z nami kiedy słońce, cisza i spokój — znikacie na czas burzy; nie podeprzecie nikogo z nas, nie ma was gdy gorączka i łzy, strach i niesprawiedliwość. No to czort z wami, idźcie pomiędzy podobnych sobie ćwierćludzi, którzy się z zasady niczym nie przejmują uważając, że jakoś się wszystko ułoży. A to się nie układa „jakoś", tylko układają w pocie czoła ci wszyscy, którzy się przejmują. W pocie czoła? A po co się pocić?

Stanowczo nie lubię ludzi, programowo zamykających oczy. Chociaż wiem, że tylko oni są tak miło uśmiechnięci i bezkonfliktowi, tacy „łatwi we współżyciu".

ĆWIEK

NIE TYLKO HISTORIA

STRATEGIE POLITYCZNE KAPITALIZMU

Pod pojęciem strategii politycznej, przez analogię ze strategią wojskową, można jak się zdaje rozumieć określenie celów długofalowego działania politycznego oraz środków dla ich osiągnięcia. Nie myślę tu kusić się o zbudowanie poprawnej, wszechstronnej definicji tego pojęcia. Wystarczy jeżeli uświadomimy sobie, że nie jest ono tożsame z pojęciem ideologii politycznej. Ideologie polityczne w swoich zróżnicowanych postaciach, jako doktryny, teorie, programy czy hasła, są z pewnością tylko jednym z wielu wyznaczników rzeczywistego politycznego działania, nie zaś jedynym. Czy dostateczną uwagę zwracamy na to w naszych współczesnych publikacjach politologicznych? Mamy wśród nich wiele wartościowych prac, poświęconych zróżnicowanej problematyce politycznych ideologii kapitalizmu. Jednakże publikacji, które zajmowałyby się szerszymi zagadnieniami współczesnych strategii politycznych, było jak dotychczas bardzo, doprawdy bardzo niewiele.

Dlatego zasługuje na uwagę zbiorowa praca Mariusza Gulczyńskiego, Tadeusza Iwińskiego oraz Wojciecha Lamentowicza, zatytułowana „Strategie polityczne współczesnego kapitalizmu", opublikowana ostatnio (1977) przez Redakcję Nauk Politycznych Państwowego Wydawnictwa Naukowego. Jest to — jak czytamy na wstępie — pierwsza w polskim piśmiennictwie politologicznym próba „kompleksowego opisu politycznych strategii, którymi kierują się rządzące współcześnie w kapitalizmie ośrodki władzy", pierwsza próba uporządkowania i zsyntetyzowania wiedzy o aktualnych strategiach politycznych świata kapitalistycznego.

Od pierwszej publikacji, poświęconej tej jakże ważnej i kontrowersyjnej problematyce, nie sposób wymagać zbyt wiele: było niemożliwością, by autorzy poruszyli w niej wszystkie, godne uwagi zagadnienia. „Badanie strategii politycznych — czytamy na wstępie tej publikacji — prowadzi do wykrycia rzeczywistych celów, sposobów, reguł i motywów działania instytucji politycznych współczesnego kapitalizmu. Nie traci się przy tym z pola widzenia teorii, ideologii, programów i doktryn politycznych. Rozpatruje się je bowiem albo jako propozycje nowych strategii, albo jako ich motywację i instrumenty manipulacyjnego oddziaływania na świadomość społeczną". Autorzy książki starali się możliwie dokładnie określić przedmiot swoich rozważań, nie wdawali się jednak w szersze refleksje o charakterze metodologicznym. Nie sądzę, by można było z tego powodu czynić im jakiekolwiek zarzuty: rzecz ma przecież charakter wstępnej syntezy, jest pomyślana — zresztą najzasadniej — jako książka w rodzaju podręcznika dla wszystkich zainteresowanych tą tematyką i w związku z tym najwięcej miejsca zajmuje w niej uporządkowany opis poszczególnych, wyróżnionych przez autorów rodzajów współczesnych strategii politycznych. Jeśli jednak zwracam uwagę na sprawy metodologii, to dlatego, że doświadczenie wskazuje, że w bujnie rozwijającej się literaturze politologicznej wcale często zaznacza się chaos nawet co się tyczy rozumienia przez poszczególnych autorów tak podstawowych i zdawałoby się jednoznacznych kategorii, jak myśl polityczna. Sądzę, że jest już czas, aby podjąć systematyczne wysiłki w celu uporządkowania rozbudowanego pojęciowego aparatu naszej politologii, co może mieć znaczenie nie tylko dla badań, prowadzonych w naszym kraju, ale także dla prac politologicznych rozwijających się w innych krajach socjalistycznych. Dlatego też — licząc, że książka o strategiach politycznych współczesnego kapitalizmu doczeka się niebawem nowego rozszerzonego wydania — postulowałbym na przyszłość rozbudowanie bardzo krótkiego dziś „wprowadzenia", otwierającego tę publikację. Mogłoby ono przybrać bardziej metodologiczny charakter: ukazać relacje obszaru problemowego badań nad strategiami politycznymi z innymi rodzajami zagadnień, zwrócić uwagę na metody badawcze, wreszcie wprowadzić konieczne precyzacje semantyczne, których nam w tym zakresie szczególnie brakuje.

„Panowanie polityczne, aby było skuteczne — piszą autorzy omawianej książki — musi mieć charakter nie tylko celowy, ale także zorganizowany. Sprawujący władzę muszą działać w ramach i za pośrednictwem powołanych do tego specjalnie instytucji politycznych — państw, partii i systemów partyjnych". Zdanie to unaocznia nam, jak dalece prace nad strategiami politycznymi muszą się integrować z badaniami, prowadzonymi w innych kierunkach, w jak znacznej mierze przybierają charakter interdyscyplinarny. Uczony wkraczający na ten obszar musi być jednocześnie historykiem i socjologiem, prawnikiem i ekonomistą, a przede wszystkim politologiem. Wiele z tego, co w nauce nowe, rodzi się nie od dziś na stykach rozmaitych „tradycyjnych" naukowych specjalności i dyscyplin.

Podręcznikowy charakter omawianego dzieła uwarunkował, że skupiono się w nim nad głównymi, nie wszystkimi bynajmniej, rodzajami współczesnych burżuazyjnych strategii politycznych, mianowicie: reformistyczną, ekspansjonistyczną i futurologiczną, z ich wariantami i odmianami w różnych stronach świata. Na zakończenie pracy poświęcono uwagę problematyce ewolucji strategii antykomunizmu, podkreślając przy tym, że ten ostatni „nie jest odrębną strategią, ale przenika wszystkie istniejące polityczne strategie burżuazji, nie tylko ekspansjonistyczne, ale i reformistyczne oraz projekty nowych strategii", jednakże „stopień tego przenikania jest przy tym niejednakowy". Uogólnienia dotyczące charakteru poszczególnych politycznych strategii wyprowadzają autorzy z bogatego materiału faktycznego, zebranego z obfitej, różnojęzycznej literatury. Dla młodych adeptów politologii jest to jeszcze jeden przykład wskazujący, jak dalece dyscyplina ta jest dziś... multijęzyczną.

ANDRZEJ F. GRABSKI

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96 kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44 i 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł., kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 1961, W-2.